TEKA POMORSKA

KWARTALNIK REGJONALNY
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
KULTURY I SZTUKI

NR. 2 TORUŃ, LATO 1936 ROK I



Gdanisko (Dansker) — Toruń

TEKA POMORSKA

KWARTALNIK REGJONALNY

POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM KULTURY I SZTUKI
ORGAN KONFRATERNI ARTYSTÓW W TORUNIU

NR. 2 TORUŃ, LATO 1936 ROK I.

IGNACY ŁYSKOWSKI

DUCHOWY WÓDZ POMORZAN W DRUGIEJ POŁOWIE XIX WIEKU

(W 50-tą rocznicę zgonu)

Przed pół wiekiem, w dniu 14 lipca 1886 r., zmarł jeden z największych Pomorzan, Ignacy Łyskowski. Dziś postać to już prawie zapomniana. My, Pomorzanie, niestety za mało pamiętamy o naszych wielkich i zasłużonych współrodakach. Ignacy Łyskowski pracą całego życia zgromadził taki ogrom zasług dla społeczeństwa pomorskiego, że dzisiaj z podziwem i z najwyższem uznaniem na niego patrzymy. Należy on do tej niewielkiej liczby ludzi, którzy niewyczerpany zapał, energję i twórczą inicjatywę umieją w całości wcielać w życie, służyć mu bezwzględnie, wpływać na nie i je kształtować, — którzy umieją być przewodnikami — wodzami społeczeństwa. Nie było w drugiej połowie 19-go wieku ważnej dziedziny życia, w którejby Łyskowski nie brał udziału, wszędzie zaś — jak zobaczymy — zajmował stanowisko kierownicze, przodujące. Dlatego osobno możnaby mówić o Łyskowskim: polityku i statyście, działaczu narodowym i społecznym, gorącym demokracie i miłośniku ludu, znakomitym rolniku i ekonomiście, — o Łyskowskim uczonym, publicyście, literacie, poecie. Na historji jego życia i działalności uczyćby się można historji epoki, w której żyje i którą reprezentuje.

Młodość Ignacego Łyskowskiego przypada na I. połowę 19-go wieku, na czasy, w których germanizacja Pomorza postępowała w zastraszający sposób i zdawała się być nieunikniona. Szlachta i duchowieństwo się niemczyły, lud zaś pozostawał w zaniedbaniu, ciemnocie i nędzy. Z życia publicznego, z urzędów i szkoły zaborca usunął język polski. Młodzieży, uczącej się w szkole niemieckiej, groziło wynarodowienie. Nic dziwnego przeto, że i młody Ignacy, oddany do gimnazjum w Chojnicach,

zapomniał po kilku latach ojczystego języka, tak nawet dalece, że listy do rodziców umiał pisać tylko po niemiecku. Dopiero gdy przeniósł się z Chojnic do nowoutworzonego katolickiego gimnazjum w Chełmnie, nastąpiła korzystna zmiana. Chełmno w owym czasie wśród miast pomorskich było najwięcej przesiąknięte duchem polskim. Młodzież gimnazjalna wyższych klas związała się nadto w tajne kółko filomackie, by uczyć się polskiego języka, polskiej literatury i historji. Wśród tej atmosfery młody Łyskowski powstydził się swego niemieckiego burszostwa i swego zaniedbania narodowego. »Owładnęła mną — powiada później o sobie — silna reakcja na korzyść mojej moralności i narodowości; oburzało mnie, że stałem się ofiarą systemu germanizacyjnego; — odtąd znów czułem się Polakiem«. — To smutne i bolesne doświadczenie na własnej osobie otworzyło mu oczy na los całego społeczeństwa pomorskiego: spostrzegł z przerażeniem, że ulega ono bezwiednie germanizacji w podobny sposób, jak on w swej niedoświadczonej młodości. Ta chwila jasnowidzenia zadecydowała o jego przyszłości: Zachować Pomorze dla Polski — oto hasło, które stało się jego misją życiową.

Tymczasem, po ukończeniu gimnazjum chełmińskiego, udaje się na studja najpierw do Fryburga, potem do Wrocławia. Ma zostać teologiem, ale wewnętrzne zamiłowania pchają go raczej ku historji, filozofji i literaturze. Wreszcie z teologji rezygnuje zupełnie, a zwiedziwszy Szwajcarję i Włochy, wraca na Pomorze, do rodzinnych Mileszew, majątku w powiecie brodnickim, na ziemi — zwanej dawniej Michałowską. Tutaj w dalszym ciągu kształci się samodzielnie, zwłaszcza zaś chętnie poświęca czas ulubionym studjom literackim. Równocześnie zajmuje się wzorowo i przykładnie rolnictwem, tak że wkrótce zyskuje sobie miano najznakomitszego rolnika na Pomorzu.

Swoją działalność publiczną Ignacy Łyskowski rozpoczyna od poezji. Był bowiem zamłodu pełen planów literackich. Bolało go, że Pomorze nie wydobyło z siebie żadnej iskierki ducha i że dlatego inne dzielnice polskie, nazywały je z lekceważeniem »okolicą pod ciemną gwiazdą«. Chce więc pokazać, że to niesprawiedliwa nazwa i dlatego w r. 1847 wydaje pierwszy swój zbiorek poezyj p. t. »Poezje ziemianina«. W przedmowie do niego wyraża jako poeta życzenie, że jak niegdyś Brodziński dla całej Polski, tak on na terenie Pomorza »chętnie chciałby się zwać skromnym wsi dzwonkiem, byleby olbrzymie przebudził dzwony«. Nie miało się spełnić jego życzenie co do poezji, ale spełniło się pod innym względem: ten »skromny dzwonek« poezyj ziemianina był pierwszym zwiastunem budzącej się do życia prowincji, zostającej dotąd w letargu uśpienia narodowego; »olbrzymim dzwonem« zaś, który odtąd przez 40 lat nawoływać będzie tę prowincję do pracy publicznej, jest właśnie on,

Ignacy Łyskowski. — Po tym pierwszym zbiorku poezyj wydaje później jeszcze kilka. Zdradzają one wcale duży talent poetycki ich autora, odznaczają się gorącem umiłowaniem życia wiejskiego i nacechowane są głęboką troską o dolę ludu. Ale nie było danem rozwinąć się Łyskowskiemu — poecie. Budząca się pod wpływem odrodzeniowych tchnień »wiosny ludów« prowincja pomorska potrzebowała światłych pracowników na różnych polach. Niestety tych pracowników było niewielu. Łyskowski czuł się więc zmuszonym do podzielenia swych sił duchowych, by gwałtownym potrzebom zaradzić. Literackie swoje zdolności mógł teraz oddać na usługi publicystyce. Pomorze nie miało dotąd żadnego pisma polskiego, a tem samem było pozbawione duchowego kierownictwa. Za inicjatywą Łyskowskiego powstaje wtedy w Chełmnie pierwsza drukarnia polska i zaczyna wychodzić »Szkółka Narodowa«, pierwsze polskie pismo na Pomorzu. Gdy byt jej został podcięty przez nową pruską ustawę prasową, skierowaną ostrzem przeciw budzącemu się na Pomorzu uczuciu narodowemu, Łyskowski w r. 1850 o własnych siłach zakłada nowe czasopismo p. t. »Nadwiślanin». Przez pierwsze lata sam go redaguje, a następnie jest stałym jego współpracownikiem. — Na łamach »Nadwiślanina« wypowiada swoje idee postępowe. Streszczają się one w słowach motta: »Przez pracę do mienia i godności«. Przeciwstawia się tem hasłem dotychczasowym poglądom romantycznym, według których rozbiór Polski był dziełem przeznaczenia a przyszłość jej jest również zależna od przeznaczenia. Łyskowski nie godzi się z takiem mniemaniem. W jednym z artykułów woła: »Niedostatkiem pracy ubiegłych wieków spadła na nas niedola, szczerością pracy możemy sobie zgotować nową przyszłość, dalszem zaś próżniactwem nieomylną śmierć. Przedewszystkiem przestańmy oglądać się na cud lub obcą pomoc. Ojczyzny nie wymodlim ani nie wyżebrzem, ale uczciwą i szczerą pracą wobec Boga i narodów zarobić ją sobie możemy«.

Ta praca ma iść w kierunku materjalnej i duchowej zamożności. Jedna od drugiej jest zależna, a osiągnięcie obu musi doprowadzić wkońcu do godności narodowej, t. j. do niepodległej ojczyzny. — Zalecana przez Łyskowskiego troska o byt materjalny znajduje realizację w organizowaniu towarzystw agronomicznych, zwłaszcza włościańskich, wprowadzaniu nowoczesnych maszyn rolniczych, zakładaniu kas oszczędności i spółek pożyczkowych oraz w popieraniu rodzimego przemysłu.

I w tej pracy Łyskowski świeci nietylko inicjatywą, lecz również wcielaniem jej w życie. Jako zawołany rolnik zbiera swe doświadczenia w małą encyklopedję rolniczą p. t. »Gospodarz«, która doczekała się kilkunastu wydań i tłumaczona była na języki obce. Ten sam cel mają zakładane przez niego towarzystwa rolnicze. Już w roku 1849 zakłada

w Brodnicy włościańskie kółko rolnicze, które jest pierwszem tego rodzaju na ziemiach polskich. Szczytem usiłowań w tym kierunku jest instytucja Sejmików Gospodarczych, stworzona przez niego w r. 1867. Przez kilkanaście lat skupiała ona całe życie gospodarcze i społeczne na Pomorzu i była wykładnikiem postępowej pracy. Zyskała też sobie sławę w całej Polsce, bo chętnie na sejmiki zjeżdżali do Torunia przedstawiciele Wielkopolski i Galicji. Łyskowski był nietylko inicjatorem i organizatorem tych sejmików, ale przedewszystkiem ich duchem ożywczym.

Rozumiał jednak dobrze, że byt materjalny społeczeństwa uzależniony jest od stopnia jego oświaty i wychowania. Toteż o te niezbędne wartości walczy od samego początku swej pracy publicznej. Przedewszystkiem zaś zwraca się do ludu, warstwy dotąd zupełnie zaniedbanej i nie biorącej udziału w ogólnem życiu narodowem. Przez swe bezkompromisowe tendencje demokratyczne należy do niewielu w Polsce, którym można nadać miano ojca ludu. Pisze dla ludu książki i elementarze, zakłada po parafjach przy kółkach rolniczych czytelnie i bibljoteczki ludowe. W jednym powiecie brodnickim założył ich przeszło czterdzieści. Równocześnie jako poseł do sejmu pruskiego i parlamentu niemieckiego wspaniałym darem wymowy bronił niezmordowanie przez lat dwadzieścia praw ludności polskiej na Pomorzu, walczył o jej język ojczysty w życiu publicznem, w szkole i urzędach. Dawał w ten sposób do zrozumienia rządowi pruskiemu, że ludność pomorska żyje świadomem życiem narodowem i nie myśli z niego rezygnować. By te usiłowania w kierunku wzmożenia bogactwa duchowego i podtrzymywania świadomości narodowej objęły całą ludność Pomorza, Łyskowski w roku 1869 zakłada Towarzystwo Moralnych Interesów. Oddało ono społeczeństwu ogromne usługi. Dość wspomnieć, że były podstawą później powstałego w Poznaniu Towarzystwa Czyteln Ludowych.

Gdy powstało Towarzystwo Naukowe w Toruniu, w ręce Łyskowskiego złożono godność pierwszego prezesa. Było to wyrazem uznania dla jego niezwykle głębokiego i wszechstronnego umysłu oraz dla zasług, które położył w walce o duszę polską na Pomorzu.

Powyższy obraz nie wyczerpuje jeszcze wszystkich prac i poczynań Ignacego Łyskowskiego. W krótkim artykule niesposób przedstawić postaci tak bogatej i wszechstronnej. Była ona przed pięćdziesięciu laty — w czasie najcięższej walki z zaborcą — uosobieniem najszczytniej pojętego obywatela i obowiązku narodowego. Jeszcze dziś pod wielu względami służyć nam może za wzór i przewodnika.

Mgr. Andrzej Bukowski

»OPINJA POMORSKA«

Im dłużej mieszkam i pracuję na Pomorzu, im więcej poznaję kraj i stykam się z ludźmi tutejszymi, im głębiej wczuwam się w przeszłość i dzisiejszą rolę ziem noszących nazwę Pomorza — tem częściej zadaję sobie pytanie, czy nie spada i na mnie „przybysza“ obowiązek zabierania głosu chociażby w sprawach najistotniejszych dotyczących tych ziem. Coprawda, może każdego razić, gdy taki „przechodzień“ już po paru miesiącach lub nawet tygodniach przypadkowego pobytu raptem objawia: „ u n a s tu na Pomorzu“, albo jeszcze odważniej: „m y Pomorzanie sądzimy“. A jednak ktoś musi to robić, i ktoś jest do tego upoważniony i z praw swoich p o w i n i e n k o r z y s t a ć. Wytworzenie bowiem „opinji pomorskiej“ z konieczności musi nastąpić już w najbliższym czasie, a więc zdanie sobie sprawy z tego, czem jest i jakie ma przed sobą zadania kulturalne, gospodarcze i polityczne prowincja nadmorska Rzeczypospolitej, — staje się poprostu o b o w i ą z k i e m w s z y s t k i c h o s ó b myślących i działających na Pomorzu.

Kiedy właściwie obywatel nabiera pełni praw do wypowiadania sądu o sprawach kraju, czy dzielnicy w której zamieszkuje i dla której pracuje? Przecież nie przez samo tylko urodzenie następuje zadzierzgnięcie niezbędnych w tym wypadku węzłów pokrewieństwa, zażyłości, obowiązków i prawa żądania posłuchu? I nie przez sam fakt dłuższego „od niepamiętnych czasów“ zamieszkiwania. Jak patrjota w pewnych warunkach może urodzić się i działać poza granicami ojczyzny; jak nowy, i czasem przypadkowy członek warstwy społecznej i towarzyskiej, a nawet rodziny i Kościoła może stać się niemal z miejsca bliskim, potrzebnym i „naturalnym“ narówni z tymi, którzy wywodzą się z tego środowiska „z krwi i kości“, — tak samo zapewne obywatel może się stać „prawdziwym Pomorzaninem“, jeżeli tylko zbliży się, pozna i odczuje naturę nowego otoczenia i środowiska do tego stopnia, że się z niem zespoli w jedno.

Biorąc rzecz z tego stanowiska, staje się zrozumiałem, dla czego tak wielu z nas „przybranych Pomorzan“ nie czuje się dobrze w „pomorskiej skórze“: — nie każdy bowiem potrafi zobaczyć Pomorze takiem, jak ono jest naprawdę, zrozumieć, co jest w niem najbardziej istotne i na czem polega, że tak powiem, „pomorskość“ tego kraju i jego ludności. Nie mogąc zaś istoty Pomorza ani pojąć, ani odczuć, stają też wobec jego zagadnień i trosk jako ludzie obcy i dalecy, a nieraz nawet niechętni, pogardliwi i wrodzy.

Trzeba zresztą przyznać, nie na usprawiedliwienie tego stanowiska, lecz jedynie dla wyjaśnienia i pogłębienia interesującego nas w tej chwili zagadnienia, — że droga wiodąca do poznania, a szczególnie do zespo-

lenia się ze środowiskiem „czysto pomorskiem“ nie jest łatwa. Już nie mówię o tem, jak skomplikowaną i wciąż jeszcze w wielu bardzo istotnych punktach niejasną i nieznaną jest historja przemian politycznych, ludnościowych i gospodarczych na ziemiach, które się złożyły na dzisiejsze Pomorze i stosunku tych ziem do innych na południe, wschód i zachód położonych: — niema dotąd dzieła, któreby te stosunki w całej pełni jasno i wyczerpująco nam przedstawiało, i miną jeszcze lata, nim w wyniku pracy wielu uczonych taki materjał zdobędziemy. Wystarczy, jeżeli tylko stwierdzimy, że zarówno dzisiejsze województwo pomorskie nie odpowiada dawnym pojęciom „Pomorza“, jak tem bardziej ludność tego województwa nie pokrywa się z wyrobionym i ustalonym pojęciem naukowem, historycznem albo etnograficznem „Pomorzan“. Nic więc dziwnego, że spotykamy szereg poważnych przeszkód na drodze formowania się „opinji pomorskiej“. Zastanówmy się nad ważniejszemi.

Po pierwsze, tradycje pewnych nazw i powiązanych z niemi pojęć łatwiej zanikają, czy też ulegają przemianom w stosunku do terytorjów, natomiast trzymają się uporczywie w stosunku do ludności. Nazwa „Pomorza“ tem łatwiej zespoliła się z pojęciem dzisiejszego województwa pomorskiego, że tę samą nazwę stosujemy wobec całego obszaru między dolną Odrą a Wisłą; jakkolwiek w stosunku do zwężonego pojęcia Polskiego Pomorza dotkliwie odczuwamy brak Gdańska i prawobrzeżnego dolnego Powiśla (dawne województwo malborskie), to jednak temu pojęciu odpowiada w naturze określone terytorjum, posiadające, dzięki oparciu o wybrzeże i powiązaniu ścisłemu z Wisłą, wszystkie cechy odrębnego i zamkniętego w sobie regjonu geograficznego, który w przyszłości zaokrągli się jeszcze bardziej przez dołączenie Kujaw i Nadnoteci. Natomiast rzecz ma się zupełnie inaczej z ludnością, społeczeństwem, ich kulturą i ich sądami, oraz z tak zw. opinją publiczną. Przedewszystkiem zupełnie odrębnie zarysowuje się, jako zamknięty w sobie i bardzo charakterystyczny zespół, — grupa ludności kaszubskiej na północy Pomorza, która utrzymała w spadku po właściwych Pomorzanach specyficzne odrębności językowe, kulturalne i społeczne. Ta najliczniejsza grupa ludnościowa wyraźnie odgranicza się, nietylko terytorjalnie, ale że tak powiem plemiennie od ludności borowiackiej, mieszkańców ziem Chełmińskiej i Dobrzyńskiej, wreszcie od grup znowu bardzo wyraźnych kujawskiej, mazurskiej i wielkopolskiej. Co za skomplikowany obraz wewnętrznej struktury ludnościowej Pomorza w porównaniu do innych bardziej zwartych pod tym względem regjonów, jak Śląsk, Mazowsze, Wielkopolska.

Drugim niezmiernie ważnym momentem utrudniającym kształtowanie jednolitej opinji pomorskiej, była wielka wędrówka narodów, która odbyła

się na terenie Pomorza po wojnie. Zdamy sobie sprawę z niezwykłych przemian, które tu się odbyły, jeżeli stwierdzimy, że wywędrowało stąd conajmniej 325 tysięcy ludności niemieckiej, a przybyło blisko 300 tys. ludności polskiej z innych dzielnic, czyli co trzeci obywatel na Pomorzu jest „przybranym Pomorzaninem". Przeprowadzone przez Instytut Bałtycki ankiety etnograficzne, jak też inne studja świadczą o zupełnym niemal zalewie Pomorza przez ludność z innych dzielnic i bardzo gruntownem przemieszaniu się wszelkich objawów kultury; wyjątek pod tym względem stanowią Kaszuby i bardziej zapadłe zakątki Borów Tucholskich.

Trzecim wreszcie momentem, może najważniejszym, jakkolwiek płynącym z poprzednich, jest okoliczność, którą trzeba mieć odwagę wyznać, — że Pomorze nie miało własnej opinji, ani w okresie przedwojennym, ani też po przyłączeniu do Polski. Twierdzenie to w niczem nie pomniejsza wielkich zasług społeczeństwa polskiego na Pomorzu w dziedzinie walki o polskość, ustala jedynie, że kuźnia tych idei, którym hołdowali światli Pomorzanie, znajdowały się w głównych centrach myśli polskiej, w Poznaniu, Krakowie, Warszawie i Wilnie. Na Pomorzu jedynem większem polskiem centrum intelektualnem przed wojną był Gdańsk, gdzie istotnie może myśl polska pulsowała wyraźnie, lecz stosunek sił skazywał zgóry szersze poczynania na niepowodzenie. Znowu po wojnie największy ośrodek miejski na Pomorzu liczył 40 tysięcy ludności; społeczeństwo polskie na Pomorzu przejęło w spadku zupełnie niewystarczającą ilość warsztatów i narzędzi, któreby mogły służyć szerzeniu kultury oraz urabianiu opinji pomorskiej. Wszystko niemal w tej dziedzinie trzeba było zakładać po wojnie od nowa i wszędzie niemal zaczynać od fundamentów.

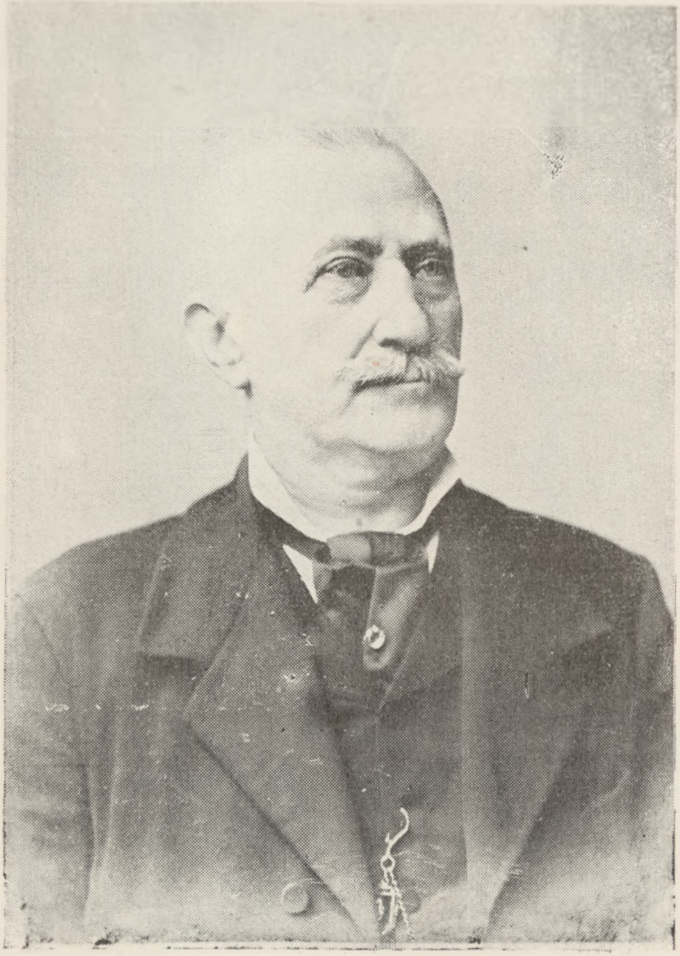
Można się zgodzić z tem, że ostatnie dziesięć lat niezbyt sprzyjały formowaniu niezależnej opinji w Polsce, szczególnie na Pomorzu. Nie stawiamy jednak sprawy braku opinji jako zarzutu i nie dociekamy w tej chwili wszystkich źródeł zła, tylko je poprostu stwierdzamy, w tym celu głównie, żeby podkreślić nagłą potrzebę zaradzenia pewnym brakom, a jednocześnie zdać sobie sprawę z niecodziennych trudności, jakie się wyłaniają przy pracy na tym odcinku. W tych warunkach wydaje się nam jedynem wyjściem z sytuacji apelować do wszystkich o pomoc i zgodną współpracę, niezależnie od tego,gdzie kto został urodzony i w jakim stopniu jest na Pomorzu zadomowiony, — byle wyczuwał rytm wydarzeń, które nieuchronnie nastąpić muszą w tych warunkach, w jakich się Polska znajduje i rozumiał ich ukryty narazie sens, wymagający jaknajprędszego skrystalizowania, ugruntowania i jaknajszerszego oddziaływania na wszystkich zdrowej, własnej opinji pomorskiej. Naturalnie, chodzi

o wypowiadanie sądów nie w stosunku do spraw przemijających, jak naprz. oceny jakiegoś posunięcia danego rządu, lub któregoś urzędnika, lecz w stosunku do spraw najbardziej istotnych dla Pomorza.

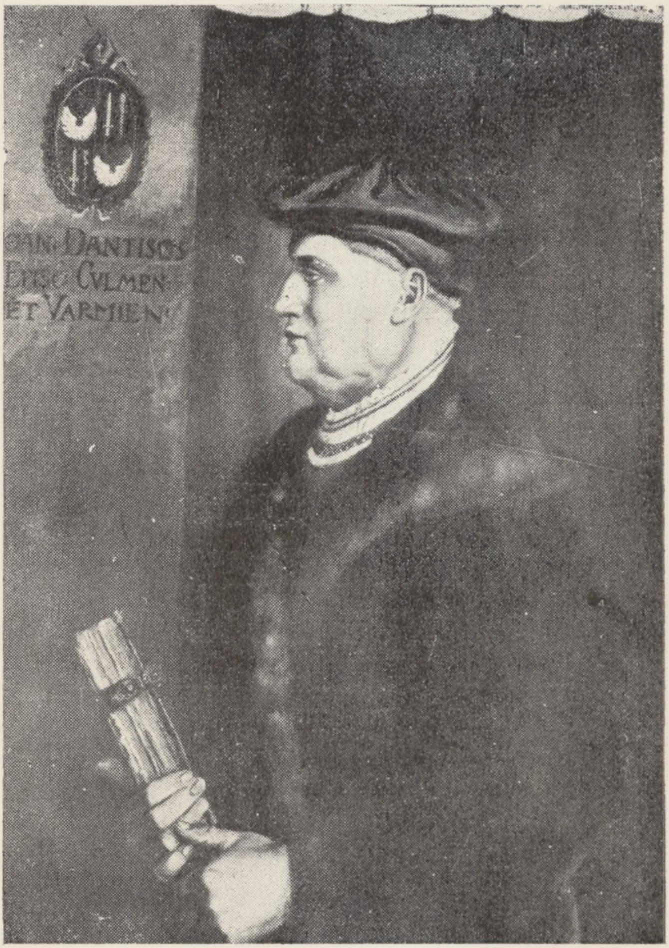
Będziemy się starali znaleźć czas i miejsce, żeby wykazać, jak chwiejne i płytkie nieraz są rozpowszechnione w Polsce sądy dotyczące spraw dla Pomorza najważniejszych. Zbyt mało bowiem wykazujemy wrażliwości i spostrzegawczości nawet wówczas, gdy wchodzą w rachubę posunięcia wymierzone w najczulsze i najbardziej zagrożone punkty naszej egzystencji. Mam na myśli nasze położenie i przyszłość naszą nad Bałtykiem, stosunek nasz do Gdańska i Gdyni, nasze zainteresowania w stosunku do Prus Wschodnich i Litwy, zagadnienie kultury polskiej na Pomorzu, sprawę polskich warsztatów gospodarczych, urbanizacji i uprzemysłowienia, powiązanie interesów z innemi regjonami i t. d. My wszyscy, którzy zetknęliśmy się z istotą zagadnień pomorskich, rozumiemy naukę przeszłości i zdajemy sobie sprawę ze znaczenia dla Polski tej dzielnicy, najwcześniej i najgruntowniej oderwanej od macierzy, powinniśmy rzetelnie dopomóc w ukształtowaniu się właśnie tutaj na Pomorzu pewnych i jasnych sądów w odniesieniu do wszystkich ważniejszych zagadnień naszego życia, przedewszystkiem pod kątem widzenia ugruntowania związków między tą dzielnicą i Polską we wszelakich kierunkach, a szczególnie kulturalnym i politycznym.

Na zakończenie pragniemy stwierdzić, że obserwujemy od dłuższego czasu objawy wielce pocieszające, które będą sprzyjały szybszemu tworzeniu się opinji pomorskiej i konsolidowaniu się społeczeństwa pomorskiego, dotąd zbyt rozproszkowanego. Oto bowiem tworzą się na głuchej prowincji, w drobnych miasteczkach ośrodki wymiany zdań, oddziaływujące na otoczenie, nieraz nawet dalsze, powstają kulturalne przedsięwzięcia, jak wydawnictwa, pogadanki i odczyty, sprowadza się przeszłość i teraźniejszość danego drobnego regionu do ogólnego polskiego mianownika, a jednocześnie podkreśla się i pogłębia się swoistości i szlachetne odrębności cechujące dany zakątek. Dobrą wróżbą dla przyszłości Teki Pomorskiej byłoby, gdyby potrafiła nawiązać styczność z tym zdrowym i sympatycznym ruchem regjonalnym i ustalić jaknajgłębsze współdziałanie z działaczami kulturalnymi na prowincji. Mogłaby wówczas pokusić się, by przy oparciu o te siły regjonalne zacząć urabiać opinję pomorską i sama stać się jej wyrazem. Byłby to wielki krok w rozwoju stosunków kulturalnych na Pomorzu.

Józef Borowik



Ignacy Łyskowski *Ze zbiorów Książnicy Miejskiej*



Jan V. Dantyszek (Diantiscus)
Biskup Chełmiński i Warmiński

Repr. R. Wyrobek
Gdańsk

CZŁOWIEK O SIEDMIU NAZWISKACH

BISKUP DANTYSZEK — MĄŻ STANU I KSIĄŻĘ KOŚCIOŁA

W panoramie wieków minionych jednym z najciekawszych jej fragmentów była, jest i na zawsze zostanie epoka renesansu i reformacji: schyłek XV. i pierwsza połowa XVI. wieku.

Cała ówczesna Europa wzdłuż i wszerz chlubiła się plejadą wielkości, które do dziś zdobią karty dziejów, nauki i sztuki. Filozofja, malarstwo, poezja, rzeźba i architektura osiągnęły szczyty rozwoju. Nie inaczej niż w ojczyźnie Odrodzenia i humanizmu — wskrzeszonego antyku we Włoszech — było w Polsce. Okres ten w historji naszej — panowanie dwóch ostatnich Jagiellonów — zdobył sobie nawet zaszczytną nazwę — okresu złotego...

Oblicze Starego Świata, — jest to bowiem czas poszukiwań nowych lądów — uległo nieznanym dotąd zmianom i przeobrażeniom, a mapa Europy przechodziła coraz to jakieś ewolucje... Stan umysłów jednostek i narodów znalazł się w ustawicznem podnieceniu, wyłączającem spokój i bezpieczeństwo całkowite.

Sytuacja taka wytworzyła nieznaną dotychczas dykasterję — przedstawicieli odnośnych państw na dworach zagranicznych. Już w samym charakterze swojego urzędu — powiedzmy to jasno z góry — kojarzyli oni z konieczności jakby dwa elementy: dla własnego kraju byli rodzajem politycznych pośredników, dla obcych, zwłaszcza dla nieprzyjaciół i w stosunku do nich, starali się być intrygantami. Zwano ich rozmaicie: posłami, z łacińska „oratores“, bowiem byli najczęściej też tęgimi mówcami, — a według naszych pojęć byli to — ambasadorowie — dyplomaci.

Każde państwo już w epoce renesansu miało na dworach państw obcych swoich reprezentantów; musiała ich mieć też i Polska, państwo nie tylko, że sąsiadujące i utrzymujące stosunki z szeregiem państw innych, ale sławne, możne i uważane za jedno z najpotężniejszych w Europie — a kulturą przodujące poza Włochami — bez mała wszystkim.

Jednym z najznakomitszych owej epoki posłem, stojącym w nielicznem gronie z Tomickim, Łaskimi i Ciołkiem a w dodatku i świetnym polsko-łacińskim poetą był ten, którego w tytule niniejszego feljetonu nazwałem „człowiekiem o siedmiu nazwiskach“.

Miał ich bowiem tyle! Niemieckie, holenderskie, łacińskie, nawet greckie — tylko polskiego nie miał, choć polskim był dygnitarzem i dla Polski wiernie zdala od niej pracował. — Któż to był?

Był nim wnuk, wywodzącego się z Prus Królewskich, szlachcica von Höffen, którego przodkowie pisali się z holenderska van de Hoven, syn zapisanego w gdańskich księgach cechowych Flachsbindera czyli

znowu z niemiecka — powróżnika. Ten to powróżnik miał syna Szymona z zawodu piwowara i jemu to właśnie w 1485 roku w sam dzień Wszystkich Świętych urodził się w Gdańsku nasz przyszły poeta i dyplomata, zwany od rodzinnego miasta Dantiscus albo Dantyszek.

Jeśli mowa o nazwiskach to dołączyć należy jeszcze inne, któremi zwał się sam „Jego Mość orator".

Mianowicie: w latach studjów akademickich w Krakowie nazwisko Flachsbindera zgreczył sobie na piękniebrzmiące Linodesmon (co zresztą również oznacza powroźnika), a w latach późniejszych, gdy już pełnił funkcje poselskie, pisał się z szlachecka po łacinie Joannes de Curiis, po polsku zaś zwano go poprostu Gdańszczaninem. Miał więc istotnie nazwisk aż siedem!

Nikt nie przypuszczał ani przeczuł, że w przyszłości z tego syna piwowara wyrośnie głośny na całą Europę mąż stanu, że kiedyś uzyska on aż potrójne tytuły szlacheckie, że słowem, — sławą się stanie! Że jako uczony i dyplomata żyć będzie w przyjaźni z takiemi osobistościami swego wieku jak: Mikołaj Kopernik, Filip Melanchthon, Erazm Roterdamski — ba, że zetknie się nawet osobiście z samym Marcinem Lutrem! A jednak!.. Początkowe wykształcenie odebrał Dantyszek w Gdańsku, ale nie wiele mógł się tam nauczyć — tedy jako 12-letni chłopiec udaje się już do Krakowa. Traf zdarzył, że dostał się do cenionego humanisty Pawła z Krosna, który w nim rozbudził drzemiące zdolności poetyckie. Ale i Alma Mater Cracoviensis nie wystarczała wybitnie utalentowanemu bakałarzowi tej uczelni; po uzyskaniu tego tytułu w 1503 r. postanawia dalej poświęcić się nauce, ale już we Włoszech.

Z niewiadomych nam atoli przyczyn zamiast tam, — udaje się na północ do Danji i Niemiec, poczem dopiero jedzie do Włoch, skąd — pospolicie wówczas praktykowanym zwyczajem — odbywa pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Nie poszła jednak ta podróż 20-to letniemu młodzieńcowi na dobre: jedno — to wielka burza morska mało nie zatopiła okrętu, którym płynął Dantyszek; a drugie — to w samej już Jerozolimie w jakiejś ulicznej scenie dotkliwie poturbowały go wyrostki żydowskie.

I może tutaj należy szukać źródeł późniejszego antysemityzmu poety — dyplomaty tak w jego notach poselskich jak i w poemacie z 1520 roku, pt. „Błędy Talmudowe", — o czem mało kto z zajmujących się dotąd Dantyszkiem wspomina.

Wróciwszy do kraju, osiadł powtórnie w Krakowie, gdzie protegowany przez wpływowego kanclerza biskupa Tomickiego krocząc po szczeblach karjery „dworskiej" zostaje sekretarzem królewskim — tak de nomine — z tytułu jak i de facto — z urzędu. Tytuł jak tytuł: dał mu dwa probostwa: jedno pod Krakowem w Gołębiu, a drugie u P. Marji w Gdańsku; ale urząd był poważny i odpowiedzialny. Zaczęło się od

sędziego czyli t. zw. iudex curiae, który to urząd pełnił z zadziwiającą sumiennością i sukcesem.

Już w samem zaraniu swej działalności publicznej — lepiejby to nazwać przygotowaniem się do dyplomatycznej karjery — Dantyszek jeździł na t. zw. „jenerały" czyli sejmiki pruskie, odbywające się raz w Malborku, raz w Grudziądzu; albo w sprawach królewskich do rodzinnego Gdańska. Nie było to zadanie łatwe, a jednak okazał w nich Dantyszek tyle zręczności i taktu, tyle giętkości i elastyczności w taktyce, tyle intuicji w postępowaniu, że z dnia na dzień polecano mu sprawy trudniejsze, zawilsze, bardziej skomplikowane... Coraz to większe znaczenie, coraz to inne zaszczyty rozbudzały i rozwijały jego — już z natury wybitny — talent poetycki. Z tych też czasów datują się dwa większe poematy (jak zresztą i wszystkie inne, stanowiące dziś rzadkość bibljograficzną): — jeden poświęcony zaślubinom Zygmunta Starego z Barbarą w 1512 r.; drugi z 1514 r. z okazji wyprawy Króla przeciw Moskwie, uwieńczonej zwycięstwem pod Orszą, w której to wyprawie nasz poeta towarzyszył Królowi osobiście... Nie tylko zwrócił na siebie wyjątkową uwagę; owszem, Król mości Dantyszka tak polubił, że ten stał się jednym z nielicznych ulubieńców... Wawelu!.. Nie pytajmy: zasłużonym czy nie? stwierdźmy tylko ten niezbity i ustalony dowodami fakt! W owe czasy sprawą najbardziej palącą była kwestja wyprawy, świętej wyprawy przeciw Turkom; była to, że się tak wyrazimy, szlachetna idea, ale pod płaszczykiem tej idei ukrywano bardzo realne interesy osobiste; duszą antytureckiej koalicji z mianowania samego Leona X miał być Król Zygmunt Stary.

Drugą rzeczą, umysły absorbującą, były zabiegi Maksymiljana około pozyskania w przyszłości dla siebie korony czeskiej i węgierskiej. W tym też celu cesarz — pragnąc odwrócić czujność Zygmunta, wciągał go w coraz inne zbrojne zamieszki — to z Krzyżakami, to z Moskwą, a gdy plany te nie znalazły się na drodze urzeczywistnień — zwołał nagle sławny zjazd do Wiednia.

Otwarcie zjazdu monarchów wyznaczono na dzień 15 lipca 1515 r. Zygmunt wziął ze sobą Dantyszka, wówczas 30-toletniego, pełnego już godności przedstawiciela Polski. Tutaj wystąpił nasz poeta już oficjalnie, odczytując coram publico okolicznościowy poemat „Congressus trium regum". Zaimponował dystynkcją, talentem i wymową zgromadzonym, sam zaś Maksymiljan, ogłosiwszy go „poetą uwieńczonym" i doktorem obojga praw uniwersytetu wiedeńskiego, nadał Dantyszkowi tytuł szlachecki, uprawniający go do noszenia złotego sygnetu.

Od tej pory Dantyszek pozostaje na dworze wiedeńskim, biorąc udział w coraz to innych i coraz ważniejszych sprawach — jak: misja pogodzenia Maksymiljana z Wenecją; jak układy o małżeństwo Króla

z Boną; jak później z wyboru samej Bony — starania o odzyskanie księstwa Bari i wiele, wiele innych.

Oryginał, megaloman i dziwak jakim był Maksymiljan — przylgnął wprost całem sercem do Dantyszka. Król Zygmunt wierzył i ufał w dyplomatyczny talent Dantyszka, toteż ilekroć nadarzały się sprawy zawiłe i zastanawiano się w radzie królewskiej komuby daną misję powierzyć — wybór padał na Dantyszka.

Polecono mu tedy udać się do Hiszpanji, aby przejął ów spadek, należący się według intercyzy przedślubnej — po śmierci Joanny Sforza — naszej Bonie. Jakkolwiek długotrwałe w tym względzie zabiegi nie odniosły pożądanego wyniku, to jednak nie było to ani z winy czy też niedbalstwa dyplomaty, raczej zpowodu matactw i grania na zwłokę samego króla Karola, potem dziedzica i następcy po zmarłym 1519 r. Maksymiljanie — na tronie cesarskim.

Jeszcze nie wypoczął po uciążliwej podróży hiszpańskiej — a już mu szykowano misję drugą, nierównie bardziej skomplikowaną. Oto zaczęto wołać po Europie na alarm, że Węgrom, Polsce i Niemcom zagraża potęga turecka; że przeto należy działać czemprędzej, aby jaknajmocniej sile tej przeciwstawić się; nie pomijano przy okazji niebezpieczeństwa krzyżackiego. W tym czasie umarł Leon X, tjarę uzyskał Adrjan VI. Trudną tę misję powierzono znowu Dantyszkowi. Udał się więc najpierw do Rzymu, a potem do cesarza Karola, któremu przyczynę swojego przybycia sformułował w pięknem przemówieniu i odpowiednim memorjale, przeplatanym poetyckiemi fragmentami i dygresjami.

Miał czekać na kolejne decyzje w różnych materjach. Czekał i czekał — tymczasem żył wystawnie, a fundusze z Polski nie nadchodziły. Upominał się w listach do Tomickiego o pieniądze — napróżno! Toteż razu pewnego w pasji rozgoryczenia, napisał paszkwil na rodzinę królewską, gdzie czytamy: „nie chodź w starca, niewiasty i dziecka rozkazy — jesteś niezawisły — szczęśliwyś sto razy", a dalej nieco: „bo dwór zaraza — złego bezdenna kałuża..."

Nie przeszkadzało to z drugiej strony, że Dantyszek wszędzie i zawsze na dworach europejskich jaskrawo manifestował swe gorące oddanie tronowi polskiemu. A że się bawił? Cóż miał innego robić — czemże sobie czas wlokący się skracać? Tak zresztą robili wszyscy inni... A nie mając na życie wystawne pieniędzy — zaciągał pożyczki. Mamy tego wyraźne ślady: Fernando Cortez sławny podróżnik, współbiesiadnik Dantyszka, upomina się odeń w jednym z listów, posłanych już z wyspy Hispanjoli o jakieś pieniądze.

Wracając z Hiszpanji wstąpił do Wittembergi, gdzie złożył wizytę Marcinowi Lutrowi. A że był to czas katastrofalnej powodzi, przeprawił się tam łódką. Później opisał swe wrażenia z pobytu u Lutra w poe-

macie „Judicium meum de Luthero", którego rękopis znajduje się w bibljotece w Uppsali, zrabowanej w 1626 roku przez Szwedów z Fromborka.

W międzyczasie wydarzyły się dwa zgony, Polskę pośrednio obchodzące: naprzód zmarł papież Adrjan VI, po którym na stolicy Piotrowej zasiadł Klemens VII, a pół roku później wiosną 1524 r. umarła matka Bony — Izabela. Te dwa fakty znów dyktowały, ażeby imieniem Króla udał się i w jednej i w drugiej sprawie Dantyszek do Bari w sprawie ostatecznej finalizacji, niezlikwidowanych a zaległych pretensyj na dobro Bony, oraz „ad limina apostolorum" z wyrazami czci, hołdu i posłuszeństwa do Rzymu. Sprawa sukcesji natrafiała na nieprzezwyciężalne wprost trudności... dlatego z polecenia Zygmunta Dantyszek udaje się do Hiszpanji z prośbą o królewską interwencję. Od tego czasu Dantyszek pozostaje w Hiszpanji na stałe jako akredytowany poseł Polski pełnych lat 7.

Samą postacią swoją i obecnością na dworze Karola — w przeciwieństwie do posłów innych państw Europy — jedna sobie i Polsce wielu życzliwych. Wytworny, dowcipny, ujmujący i mądry, a przytem w najlepszym stylu światowiec — gdzie się tylko pokazał — budził sympatje. Wielojęzyczny — władał dziesięcioma językami!.. W końcu lutego 1528 roku, w czasie największych zabaw karnawałowych nagle dwór królewski odwołuje Dantyszka z Hiszpanji, a na jego miejsce posyła niejakiego Jana Lewickiego. Sam Karol zdumiony tą decyzją — mimo przyjazdu następcy — interwenjuje u Zygmunta i zatrzymuje Dantyszka u siebie.

Pragnąc zaś zademonstrować, jak bardzo ceni naszego dyplomatę, nadaje mu wraz z całą rodziną tytuł hidalga, oraz poleca wybić na jego cześć specjalny medal: z jednej strony z podobizną Dantyszka, z drugiej z herbem tegoż miana. Jedyna kopja tego medalu w ołowiu znajdowała się w zbiorach numizmatycznych bibljoteki miejskiej w Gdańsku do 1762 roku, po wielu latach znalazła się w Berlinie, obecnie zaginęła. Ale też Dantyszek w swej pracy — mimo pewną lekkomyślność — oddawał tak Polsce jak i Hiszpanji, nieocenione usługi — był w pewnym sensie nie do zastąpienia. Sam zresztą po latach powiedział o sobie: „jeżeli nie uczyniłem com był powinien, uczyniłem z pewnością to — co mogłem". To bardzo wiele!

Po latach zmienił się radykalnie i wzorowem życiem pragnął odpokutować swoją przeszłość. Ale nie wyprzedzajmy faktów! Po 1529 roku napisał historycznej wartości i znaczenia poemat: „De nostrorum temporum calamitatibus" (Silva) czyli „O nieszczęściach czasów naszych". Nawoływał tam monarchów chrześcijańskich do krucjaty przeciw Turkom i Moskwie. Wydano ten utwór równocześnie w czterech miastach Europy: Bononji, Krakowie, Kolonji i Amsterdamie.

W 1530 r. widzimy Dantyszka na sławnym Sejmie Rzeszy w Augsburgu i wtedy to otrzymuje nominację na biskupstwo chełmińskie. Przyjmuje święcenia kapłańskie i biskupie — których dotąd nie miał — z rąk Tomickiego i osiada we Frauenburgu (Fromborku), czyli Panio-Grodzie. Urząd ten i godność sprawuje znowu przez powtarzający się ciągle w jego życiu okres — lat 7, poczem w roku 1537 zostaje biskupem warmińskim z tytułem udzielnego księcia i prezydenta czyli jakby Prymasa Ziem Pruskich, ze stolicą w Heilsbergu.

Raz tylko w 1532 r. odwiedza Kraków — gdzie doznaje przyjęcia gorącego i wspaniałego, niemal „królewskiego". Jeszcze raz na tem biskupiem stanowisku proszono Dantyszka o posłowanie — wielkie w nim bowiem zawsze pokładano nadzieje. Chodziło mianowicie o pertraktacje małżeńskie Zygmunta Augusta — jeszcze jako Księcia Litewskiego — z Elżbietą Austrjacką. Misję tę spełnił i ugodę odnośną zawarł we Wrocławiu 1538 r. Odtąd ostatnie lat 10 życia oddał modlitwie i pokucie. Pisał tylko hymny eklezjastyczne, zbliżone w duchu i wyrazie do brewjarzowych.

Sławnemu podróżnikowi Herbersteinowi — w liście taki dołączył znamienny dopisek: „jużem też postanowił zgodnie z moim stanem i wiekiem być pobożnym i czystym człowiekiem", bo „wszystko w tem życiu tak prędko się kończy: miłość tylko ku Bogu z wiecznością nas łączy". Jeszcze raz upomniał swych ziomków — gdańszczan, rzucając im w twarz, gorzkie ostrzeżenie, poemat satyryczny „Jonas Propheta" czyli o zgubie miasta Gdańska. Wykupiono cały nakład i publicznie go spalono... Ostatnie lata życia poświęcał też Dantyszek pracy nad innymi: tak np. kształcił zdolnego gdańszczanina Eustachego Knobelsdorfa, któremu dedykował swój autobiograficzny poemat — ostatni jaki w życiu napisał. Otoczył opieką młodego ale zdolnego już wtedy Stanisława Hozjusza. — Proponowanej mu godności kardynalskiej — nie przyjął.

Dantyszek jako poeta jest typowym humanistą z przewagą refleksji nad wyobraźnią i nad uczuciem indywidualnem. Stąd jego najlepszemi utworami to te o charakterze refleksyjno-dydaktycznem. Jest on w dziejach naszej poezji drogocennem ogniwem, łączącym twórczość Krzyckiego z... Janickim. Z drugiej strony jako mąż stanu oraz indywidualność wybitna, nietylko że wszedł do historji, ale po przez wieki stanowił niejednokrotnie temat w utworach literackich. Ostatnio pięknie uwypuklił tę sympatyczną postać w powieści „Kłos Panny" Ludwik Hieronim Morstin.

Materjałem do poznania życia i prac Dantyszka są jego poematy, noty i relacje dyplomatyczne jako też obfita korespondencja, sięgająca 4000 pozycyj częściowo zaledwie przedrukowana w t. zw. „Acta Tomiciana".

Oryginały zaś znajdują się głównie w bibljotekach: Załuskich, Ossolińskich, Kórnickiej i Uppsalskiej. — Monografji Dantyszka — w języku polskim zupełnej i wyczerpującej dotąd brak, a szkoda!...

Bolesław Busiakiewicz

KULT RZECZYWISTOŚCI

ROZMOWA Z HELENĄ BOGUSZEWSKĄ I JERZYM KORNACKIM

Jako tło — Toruń, czerwony, ceglany i dostojny, jako dalekie wspomnienie — miasta rozsiane nad Wisłą. Cóż może być naturalniejszego, jeżeli chodzi o autorów „W i s ł y".

Zbliżamy się ku kamiennej podmurówce nadbrzeża i zgóry, zbliska patrzymy na rzędy ciemnych pudeł berlinek. Jaskrawią się mocne świeże barwy, a dal wiślana przejrzysto zamglona daje jedyny w świecie stafaż tej rozmowie.

— Słyszy pani, ster skrzypi! — mówi Helena Boguszewska. Żywo, mocno, młodzieńczo spadają te słowa nieoczekiwanej radości.

Ster skrzypiał. Jasno zielone ramię wyładowanego ciężko sczerniałego pudła dobywało z siebie ciche a wyraźne, dotkliwe i przejmujące brzmienie. Nito skrzyp zwisłej nadłamanej gałęzi sosnowej.

— Skrzypi sam z siebie. To znak niechybny, że berlinka do dwóch dni najdalej zostanie porwana przez holownik. Dnia ani godziny nikt nie wie, niejednokrotnie szyper albo szyperka zostaje „na lądaʻʻ, ale tem niemniej, ster daje znać zawczasu. Taka to już magja tajemnicza. Doświadczyliśmy tego nieraz w naszej wędrówce w dół i w górę Wisły.

Doświadczyliśmy.

Słowo to tłumaczy tak wiele.

Bogiem opętany, mówi o sobie pewien współczesny poeta. Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki, wspaniała spółka autorska, dwugłos jednej myśli twórczej, są jakgdyby rzeczywistością, konkretem, przedmiotem opętani. Wszystko muszą przeżyć na sobie, ze wszystkiem się zbratać, wszystkiego dotknąć. Kąty zapadłe, zakamarki istnienia z poza krawędzi zasięgu codziennych doświadczeń, tereny nieodkryte przez nikogo, pomijane, lekceważone czy niedostrzegane — w nich znajdują drapieżnych nieustępliwych zdobywców.

Magiczny krąg doświadczeń wzywa, kusi, nęci i oto autorzy dla wypróbowania istotnego niefałszowanego smaku życia odrzucają na bok

konwenans, banał, udeptaną równo ścieżkę, wyrzekają się spoczynku, wygód, normalizacji codziennego biegu zdarzeń, aby własnemi zmysłami sięgnąć po wiedzę o warunkach życia drugiego człowieka, własną stopą, przyzwyczajoną do szerokiego chodnika, zejść na chwiejny, wąski, oślizgły od szronu bal przerzucony z lądu na krawędź berlinki.

— Trzy dni uczyliśmy się na pamięć wnętrza ferdeki.

Znów uśmiech. Boguszewska pełna jest wewnętrznego impetu. Mówią o tem ruchy jej rąk, ekspresja twarzy.

A przecież nietylko Wisła i jej tak ekskluzywny i mało dostępny świat wodnych ludzi nasunęły, z konieczności niejako, mus badania i doszukiwania się prawdy. Po tej linji idzie cała twórczość dawniejsza, każdego z autorów z osobna i obecna wspólna.

Oto »Świat po niewidomemu«.

— Jeździłam wówczas do Lasek kilkakrotnie, — mówi Boguszewska, — Rozmawiałam z dziećmi, a potem wracałam do siebie. W ciągu roku żyłam w kręgu ich życia.

Zdaje się, nieprzebyta zapora dzieli świat widzących od świata ciemności. A jednak autorka przezwycięża ją, jest już po tamtej stronie. Uczy się wagi i znaczenia dotyku. Rozumie cały werbalizm nomenklatury barw, wpajanej dzieciom, które nigdy nie widziały, przy jednoczesnej celowości nazywania świata takim, jakim go widzą wszyscy widzący. — Niebo jest niebieskie, — mówi niewidoma dziewczynka. Któż zrozumie i odczuje, jaką treść podkłada pod ten wyraz, jakiem właściwie widzi to niebo. A zaraz stąd, krok tylko do zrozumienia zamkniętego kręgu doznań każdego człowieka. Zrozumiała staje się dla autorki tragedja chłopca, odzyskującego wzrok, jego przerażenie wobec świata nagle wyłonionego z ciemności, płaskiego, z nieodgadnioną tajemnicą perspektywy, nachodzącego na niego jak lawina. Aby widzieć naprawdę, chłopiec musi zamknąć oczy i wyciągnąć ręce. Po latach zmęczony nadmiernym trudem patrzenia, powraca do Brajla.

Tęsknota do uzyskania doskonałości przeżycia obecnego ujawnia się równie wyraźnie w innym wypadku. Autorka otrzymuje zamówienie na powieść, dla młodzieży, z życia robotników przemysłu włókienniczego. Możnaby przypuszczać, że gruntowna znajomość świata robotniczego, zdobyta uprzednio, wystarczy. Boguszewska jednak sądzi inaczej. Wyjeżdża do Łodzi i tam, w ciągu trzech dni i trzech nocy przebywając w jednoizbowem mieszkaniu robotnika fabrycznego, przeżywa, jak własne, życie obce i dalekie.

— Muszę zawsze znaleźć jakiś punkt wyjścia — mówi żywo. — Otóż tutaj starałam się wyszukać coś, co mogłoby zająć dziecko z rodziny

włókienniczej. I znalazłam. Rzucone gdzieś w kącie leżały kolorowe próbki materjałów, naklejone na tekturkach. Spytałam o nie w fabryce młodą robotnicę. »Kolekcja«! krzyknęła, odrazu domyślając się, o czem mówię. Naturalnie, kolekcja to było jej najgłębsze najradośniejsze przeżycie z czasów dzieciństwa. Trafiłam więc dobrze, znalazłam drogę do wrażeń i myśli dziecka tego środowiska.

W ten sposób powstały »Czerwone Węże», jedna z najpiękniejszych książek dla młodzieży tego rodzaju.

W ten sam absorbujący dokładny precyzyjny sposób zbierany jest materjał do powieści, którą ujrzymy w następnym sezonie wydawniczym. Tym razem autorzy sięgną ku szczytom inteligencji polskiej.

Stoimy teraz »na bulwarku«, w miejscu, w którem tak stukała obcasami nowych pantofli Anna Sprada, schodząca ku berlince Siudowskich.

— Z takiej, widzi pani, lugraby wychyliła się raz ku nam Apołonja Matyjas — mówi Kornacki.

Przypominam ją sobie odrazu. Wielką, powiększoną mnogością chust, kaftanów i spódnic, groźną, chytrą, nieustępliwą i mocną.

To stara Matyjaska, gdy tak nieoczekiwanie zawitała w świat wyobraźni swych twórców, przywiodła za sobą szyprów, szyperki, bosmanów, cały naród wodniacki.

I wtedy praca autorów poszła w kierunku zdobywania materjału.

— Przestudjowaliśmy po bibljotekach wszystko, cokolwiek było napisane o Wiśle, a potem nastąpiła konfrontacja z rzeczywistością. Bardzo uciążliwa i długotrwała. Pół roku spędziliśmy na Wiśle, z tego najdłużej na berlince szyperki Lewandowskiej z Płocka. Odbyliśmy kilkanaście ryz wiosennych, letnich i jesiennych. Poznaliśmy cały spław od Tarnobrzegu po Gdynię. Zapuściliśmy się Sanem do Ulanowa, gniazda flisaków wiślanych. Nagromadziliśmy materjał, któryby wystarczył na cztery tomy powieści.

Dopiero gdy ludzie z lądu weszli w krąg magicznych przedmiotów ludzi wodnych, gdy wcielili we własną psychikę ich rzeczywistość, wtedy dopiero dźwigać się począł i rosnąć w górę lekki świat niewidzialny. Lotna nadbudowa trwałej i spoistej bryły doświadczeń. Wtedy nadeszły społem wszystkie postaci »Wisły« i zarysowały się ich losy.

— Dobrziałkowski jest mój i Walerja Jaśtak także, — mówi Boguszewska, śmiejąc się właściwym sobie tylko śmiechem przedziwnej młodości.

— A mój — Hajnuś, Aleksy i Konstancja, — podchwytuje Kornacki.

— Matyjaska jest wspólna, prawda? — mówią oboje razem.

Zbliżamy się do tej tajemniczej sprawy, do tej czynności mistycznej prawie, do zagadnienia twórczości artystycznej, podjętej wspólnie, we dwoje.

— Jak to państwo przeprowadzają technicznie?

Bo przecież twórczość artysty to już proces jaknajbardziej osobisty, ukryty, biegnący tajemnym nurtem nieodgadnionych doznań, nieoczekiwanych wzruszeń, nieprzewidzianych i niedających się ująć w normy zdarzeń duchowych.

Lecz autorzy »Wisły« nie widzą w tem poważniejszych trudności. Temat, wydobyty z irracjonalnych głębi, staje się odrazu wspólną własnością. W ogniu dyskusji i różnicy zdań, w toku głośnych rozważań rośnie, pogłębia się, wzbiera indywidualnością swych twórców, wciąga w siebie wartości ich obojga. Karmiony chlebem macierzystym dwóch psychik, kobiecej i męskiej, zyskuje możność wszechstronnego rozwoju.

— Niektóre rozdziały piszemy naprzemian — mówi Kornacki. — I nikt obecnie w »Wiśle« nie może odgadnąć, czyjego pióra jest dany rozdział. Różnice zupełnie już są zatarte, chociaż istniały jeszcze w »Jadą wozy z cegłą«. Poza tem mamy swoje własne postaci.

— Nie mogłabym stworzyć Aleksego Rorata — stwierdza stanowczo Boguszewska. — Brakowałoby mi podłoża, gruntu psychicznego dla uformowania tego rodzaju człowieka. Nie decyduje zresztą o tej niemożności jego zbrodniczość. Bo równie daleki jest mi Hajnuś. Natomiast w starym Dobrziałkowskm czuję swoją własność.

Skręcamy z bulwaru na Łazienną. Autorzy »Wisły« chcą mi pokazać szyld gospody szyperskiej Dietmanna z jej charakterystycznym napisem. Z powodu tego napisu omal się kiedyś nie spóźnili na statek. Musieli jednak zapisać go w całości, w dosłownem autentycznem brzmieniu. Znów przejaw tej nieustannej pogoni za prawdą.

Stajemy przed domem narożnym. Owszem, gospoda jest, ale napisu już niema. Znikł pod warstwą niebieskiej mocnej farby. Jeszcze z boku pod słońce ciemnieją, niewyraźnym niepewnym zarysem, zamalowane litery.

Niema napisu. Przeszedł do historji.

— A więc »Wisła« stała się już książką historyczną — konkluduje Jerzy Kornacki.

Przed nami otwiera się Toruń, miasto najpiękniejsze.

Zofja Bogusławska

ZWIĄZKI MIĘDZY POMORZEM A PAŃSTWEM RZYMSKIEM

Państwo rzymskie było w swoim czasie wielką potęgą polityczną, kulturalną i handlową. Rozwijając się z małego obszaru miasta Rzymu i najbliższej okolicy, zawładnęło w krótkim czasie całemi dzisiejszemi Włochami i powoli zakreślało kręgi swej władzy na południe do Afryki, na wschód do Azji, na zachód do Hiszpanji, na północ do Galji, Germanji i Brytanji czyli dzisiejszej Francji, Niemiec i Anglji. Rzymianie z niebywałą energją i konsekwencją umacniali i rozszerzali granice swego państwa. Gdziekolwiek natrafiali na opór, tam przeciwników niszczyli z pomocą swoich legjonów, które wówczas były najlepszem wojskiem na świecie. Tak ujarzmił oręż rzymski potężnych Kartaginczyków w północnej Afryce, Gallów dzisiejszej Francji, Germanów w południowych Niemczech oraz Słowian bałkańskich.

Wraz z potęgą polityczną rozwijały się też kultura i handel w obrębie państwa rzymskiego. Wpływ kultury rzymskiej uwydatnił się w języku, w architekturze i sztuce, w administracji i sądownictwie i w wszystkich innych przejawach życia ludzkiego nietylko w granicach dawnego państwa rzymskiego, lecz w całej Europie i w krajach pozaeuropejskich. Te wpływy były tak silne, że Hiszpanja i Francja zaliczają się dziś do krajów romańskich, choć pierwotnie mówiono tu zupełnie innemi językami. Podobnież w budownictwie i zdobnictwie tych i innych krajów rzucają się w oczy pierwiastki rzymskie.

Pomorze nie należało do krajów podbitych przez Rzymian. A jednak i u nas uwydatniają się bardzo wyraźnie wpływy rzymskie w kulturze i handlu mianowicie w pierwszych wiekach naszej ery. Pomorze było wówczas w pojęciu Rzymian krajem dzikim, barbarzyńskim, pozbawionym wszelkiej cywilizacji. Patrzyli oni na Pomorze tak samo jak my dziś na szczepy dzikie Afryki czy Australji. Jednak wiadomości o Pomorzu dotarły do Rzymu dość wcześnie, mianowicie opowiadano tam sobie, że na wybrzeżu Bałtyku znaleźć można wielkie ilości bursztynu i że ten bursztyn miejscowa ludność za bezcen sprzedaje. Te wieści były na tyle konkretne, że około roku 60 po Chr. za czasów panowania Nerona wybrał się pewien rycerz rzymski na Pomorze, by nawiązać stosunki handlowe z kupcami pomorskimi i zorganizować dostawę bursztynu do Rzymu.

Ta wyprawa rzymska po bursztyn zanotowana przez kronikarza rzymskiego Plinjusza zasługuje na to, by jej się bliżej przypatrzeć.

Rycerz wspomniany udał się do miasta Carnuntum nad Dunajem na Węgrzech. Było to wielkie miasto handlowe, skąd karawany szły aż po Bałtyk. O dalszej drodze nie podaje Plinjusz szczegółów, ale z notatek innych kronikarzy wiemy, że szlak handlowy szedł przez Kraków, Kalisz i wzdłuż Prosny i Wisły do morza Bałtyckiego. Rycerze rzymscy jechali końmi i podróż ich trwała kilka miesięcy. Ów rycerz — kupiec przybywszy na Pomorze począł skupować bursztyn. Zdaje się, że zaufanie do monety rzymskiej nie było na Pomorzu zbyt wielkie, bo z czasów Nerona znaleziono na Pomorzu tylko dwie monety. Przedewszystkiem ów rycerz starał się zapewne uprawiać handel zamienny. Głównie starał się olśnić tubylców biżuterją, szczególnie paciorkami, naczyniami i figurkami z bronzu i podobnemi przedmiotami efektownemi. Wyprawa udała sie całkowicie. Rycerz zawiózł do Rzymu tak wielką ilość bursztynu, że wzbudził tam podziw. Bursztyn stał się w Rzymie tak popularnym, że go panie nosiły jako paciorki na szyję, że rycerze zdobili nim rękojeści mieczy, że używano go do zdobienia świątyń i cyrków. Bursztyn stał się nawet pewnego rodzaju talizmanem, używanym przez znachorów jako lekarstwo.

Dalszych wiadomości o transakcjach handlowych między Rzymem a Pomorzem nie przekazali nam historycy rzymscy. Wnioskować jednak o tem można z materjału archeologicznego jak monety, naczynia bronzowe i szklane, wazy gliniane, paciorki itp. Zabytki te były importowane na Pomorze z obszaru państwa rzymskiego i tworzyły zapłatę za towary eksportowane stąd, głównie bursztyn i skóry.

Monet rzymskich znaleziono na Pomorzu przeszło dwa tysiące. Są one wyrazem stosunków handlowych, które łączyły choć może drogą pośrednią Pomorze z państwem rzymskiem. Patrząc na mapę rozmieszczenia miejscowości, w których znaleziono monety rzymskie stwierdzić trzeba, że stanowiska te tworzą wyraźny szlak biegnący wzdłuż Wisły od Torunia aż po Gdynię. Jest to pas szeroki mniejwięcej 50 kilometrów, przerwany jedynie na małej przestrzeni koło Nowego, gdzie najwidoczniej była puszcza niezamieszkana. Ogółem jest tych stanowisk 80. Większe skarby znaleziono przedewszystkiem na obszarze dzisiejszego Wolnego Miasta Gdańska. Naprzykład skarb z Gosina w powiecie gdańskim wyżynnym zawierał aż 700 monet rzymskich, srebrnych i bronzowych. To wielkie skupienie monet nad ujściem Wisły i na wybrzeżu Bałtyku świadczy najwyraźniej o tem, że monetami temi płacono za produkty nadmorskie, mianowicie za bursztyn.

W wykopaliskach monet rzymskich na Pomorzu odzwierciedlają się poniekąd dzieje państwa rzymskiego, jego siła i ekspansja oraz upadek. Większą ilość monet znaleziono z czasów cesarza Wespazjana. Był to

władca, który umiał oszczędzać i który uporządkował finanse cesarstwa. Najwięcej monet spotykamy na Pomorzu z czasów panowania Trajana, Hadrjana, Antonina Piusa i Marka Aurelego. Był to okres największego rozkwitu państwa rzymskiego i te kilkaset monet z tych czasów przewiezione na Pomorze świadczą o wielkiem natężeniu handlowem. Upadek państwa rzymskiego uwydatnia się na Pomorzu zanikiem wykopalisk monetarnych. Dopiero po reorganizacji państwa za Konstantyna Wielkiego stwierdzić można powrotną falę stosunków pomorsko-rzymskich. Ten drugi okres rozkwitu handlowego zdaje się być najsilniejszy około roku 500, bo z tego czasu pochodzi spora ilość nadzwyczaj cennych monet szczero-złotych.

Ludność Pomorza ówczesnego nie umiała czytać. Jednak bez wątpienia interesowała się obrazami reprodukowanemi na monetach. Był to z jednej strony zawsze portret cesarza a z drugiej strony były to podobizny bóstw rzymskich jak Jowisz, Mars, Apolin, Neptun, Djana i Ceres oraz symbole przedstawiające w postaci kobiecej szczęście, pokój, zwycięstwo i t. p. Monety starszych okresów były miedziane lub srebrne, późniejsze zaś były złote.

Prócz monet wykopano w grobach cały szereg przedmiotów importowanych z obszaru państwa rzymskiego i jego prowincyj. Najliczniejsze są paciorki. Najefektowniejsze są wykonane ze szkła i pokryte warstwą złota. Jakżeż musiały błyszczeć oczy kobiet pomorskich, kiedy zobaczyły takie śliczności. Inne paciorki są szklane kolorowe: niebieskie, zielone lub fioletowe. Znowu inne paciorki są odlane z emalji w kolorze białym, niebieskim, czerwonym lub żółtym. Również znajdują się między niemi paciorki czarne z mozaikowemi wkładkami kolorowemi. Uczeni stwierdzili, że paciorki te przebyły daleką drogę z północnej Afryki, gdzie w prowincjach rzymskich były wytwórnie tego fabrykatu.

Z innych przedmiotów wymienić należy bronzowe misy, kociołki, rondle i dzbany. Przedmioty te efektownie wykonane i błyszczące dotychczas nieznane na Pomorzu musiały wzbudzać podziw. Niektóre z tych zabytków ozdobione są misternemi rzeźbami. Tak np. rączka rondla znalezionego w Rządzu pod Grudziądzem a przechowywanego w Gdańsku, upiększona jest głową barana odtworzoną bardzo realistycznie. Ucho dzbana również z Rządza przedstawia postać ludzką efektownie wygiętą z twarzą, która wyraża zadumę. Dzbanów takich używano do podawania wina i możliwe jest, że prócz naczyń wspomnianych importowano z Rzymu również wino na Pomorze. Jest to tembardziej prawdopodobne, że znaleziono na Pomorzu kilka szklanych puharów bardzo delikatnych, importowanych z Rzymu a używanych do picia wina.

Niezmiernie piękny i ciekawy zabytek pochodzący z Rzymu znaleziono w Topolnie koło Świecia. Jest to waza dość znacznych rozmiarów

wykonana z gliny. Otóż na bokach tej wazy są głowy kobiece z bardzo udatnie wykonanemi ustami, nosem, oczami i nawet włosami z przedziałem. Jest to zapewne bogini Sylene. Ta dwutwarzowa waza naśladuje wzory bardzo często spotykane w Rzymie związane z tak zwanym polikiefalizmem czyli wielopostaciowością. Takiem bóstwem wielogłowem był np. Janus oraz Sylene. Otóż jest rzeczą niezmiernie ciekawą, że takie bóstwa wielotwarzowe czcili Pomorzanie w okresie wczesnohistorycznym przed przyjęciem chrześcijaństwa. Kroniki piszą o bóżkach wielogłowych jak Światowid, Trygław i inne. Nie jest wykluczone, że te postacie wielogłowych bóstw czczonych w Szczecinie, Arkonie i innych miejscowościach pomorskich rozwinęły się pod wpływem prądów idących z Rzymu. Niedawno temu wydobyto również z ziemi głowę bóżka dwugłowego wyrzeźbionego w kamieniu w Nowym Wiecu w powiecie kościerskim.

Poza temi związkami stwierdzonemi na podstawie wykopalisk można jak się zdaje znaleźć również ślady wpływów rzymskich w kulturze ludowej Pomorza. Na Pomorzu jak zresztą i w innych częściach Polski urządzane są w czasie zapust obchody, w których chłopacy przebierają się za zwierzęta i zakrywają twarz maskami. Otóż te maszkary jak stwierdzili uczeni wzięły swój początek w zabawach ludowych w Rzymie t. zw. saturnaljach. Zamało rozwinęły się u nas badania etnograficzne, aby stwierdzić jaką drogą te zwyczaje rzymskie do nas dotarły. Jest wszakże możliwe, że przywędrowały one do nas właśnie szlakiem bursztynowym, jakim przybył do nas ów rycerz — kupiec.

Profesor Czekanowski ze Lwowa łączy również z wpływem rzymskim chaty podcieniowe licznie występujące wzdłuż dolnej Wisły. Istotnie przypominają one architekturę rzymską z charakterystycznemi kolumnami podtrzymującemi dach. Istnieje coprawda druga hipoteza, która wiąże konstrukcję słupową chat pomorskich z kulturą łużycką z pierwszego tysiąclecia przed Chrystusem. Jednak sprawa ta nie jest jeszcze przesądzona całkowicie na korzyść tej ostatniej teorji.

Pomorze politycznie nigdy nie było złączone z państwem rzymskiem. Jak z powyższych uwag jednak wynika istniały dość liczne i znaczne związki handlowe i kulturalne między Rzymem a Pomorzem. Stwierdzić należy, że żadna część Polski nie wykazuje tak wielkiej ilości monet rzymskich i zabytków importowanych z Rzymu co Pomorze i Wielkopolska. Można ten fakt wytłumaczyć jedynie szlakiem bursztynowym, który łączył Rzym z Bałtykiem i na którym pozostały ślady i pomniki państwa rzymskiego tak z zakresu handlu i kultury jak wierzeń i zwyczajów.

Ks. Dr. Władysław Łęga

PORT

Dziwaczne maszyn miasto
huczy, grozi, każdym dniem narasta.
Pracuje pospiesznym rytmem: Gdy-nia, Gdy-nia...
Alarmem syren świat o lenistwo obwinia.

NOC W STAMBULE

Aksamit nieba tną wysmukłe ostrza minaretów.
Cykada gra wytrwale ukryta w cyprysach.
Gdzieniegdzie cień się plącze z sepji i fioletu.
Pachnie ambrą, jaśminem i białym irysem.

W MECZECIE

Myśl cichnie tak, jak kroki w puszystym dywanie.
Ciszę dzieli na części gołębi gruchanie.
Bóg jest blisko — chociaż niema Go w ołtarzu.
Zamiast świec — serca się jarzą.

W PORCIE POŁUDNIOWYM

Wąskie, kręte uliczki kostropate od brudu i nędzy.
Szerokie usta morza przylgnięte do kamiennego brzegu.
Starych bark rzędy i szeregi.
Ludzie nie spieszą się i nie wołają: prędzej!
W maśle roztopionego słońca dźwigają codzienne brzemię,
z kadłubów potwornych okrętów wyrzucają ciężkie wnętrzności
Ludzie brudni, obdarci i prości —
rybacze portowe plemię.
Woda cuchnie. Tną ją łańcuchy kotwiczne.
Wloką się godziny od i do zrzucenia trapu.
Upał. Praca. Okręty wyją i sapią.
Gość, kret z ziemi przyjeżdża i wpada w zachwyt:
— Ach, jakież to egzotyczne!

Jadwiga Korczakowska

JESZCZE O REGJONALIŹMIE KASZUBSKIM I O »GRYFIE« SŁÓW KILKA

(W odpowiedzi na uwagi krytyczne p. B. Stelmachowskiej).

W tym samym zesz. »Szkwału« nr. 3 z r. 1936, w którym »Gryf« odpowiedział p. Stępkowskiemu, zabrała głos p. Bożena Stelmachowska, siląc się na wykazanie, że »Gryf« powojenny (a miała zapewne na myśli tylko r. 1931—1934, VIII i IX) nie stał na poziomie »Gryfa« przedwojennego i nie spełnił swego zadania. Zamiast bowiem zbierać materjały folklorystyczne, zajmował się głównie historją [1]) i literaturą kaszubską. A co gorsza »redakcja popadała w rozgoryczenie i mentorstwo, idea regjonalna rozpłynęła się w powodzi artykułów, jakie w podobnem piśmie nie miały w rzeczywistości racji bytu«. Zaś »Gryf Kaszubski«, przeznaczony dla ludu, »obniżał sam wartość własnych materjałów, popularyzując je«. Wreszcie poco było drukować kaszubskie utwory literackie, do kogo miały trafić?«.

Zrozumieć można etnografa, że pragnąłby w piśmie regjonalnem znaleźć jaknajwięcej materjałów folklorystycznych, ale nie można pojąć niezrozumienia etnografa dla narzecza ludowego i wszelkich w tem narzeczu pisanych utworów, a już wogóle zrozumieć nie można człowieka o wysokiej kulturze duchowej (a więc i estetycznej), który nie wie, poco i dla kogo się drukuje utwory literackie.

Tu już z artykułu p. Bożeny Stelmachowskiej bije wyraźna niechęć i nieżyczliwość, z niewiadomego płynąca źródła. Domyślać się jedynie można, że działały tu pewne czynniki postronne. Dawniej bowiem p. St. podobnych myśli krytycznych nigdzie nie ujawniała. Mniejsza jednak o źródło i przyczyny nieżyczliwości. Dla podpisanego są one aż nadto wyraźne.

Należy sprostować niesłuszne zarzuty.

Jakkolwiek rzeczywiście przeważa w »Gryfie« historja i literatura (jak w każdem dzisiejszem czasopiśmie regjonalnem, por. choćby »Zaranie Śląskie«), to przecież uwzględniono nieskąpo także inne dziedziny, a więc pieśń ludową, wierzenia, język, turystykę i krajoznawstwo, sztukę i przemysł ludowy, szkolnictwo i wychowanie, bibljotekarstwo, malarstwo, antropologję, sprawy morskie — zaś w dziale kronikarskim i recenzyjnym bieżące życie kulturalne i polityczne na Pomorzu, przyczem wiele miejsca poświęcono zwalczaniu niemieckich napaści rewizjonistycznych. Dział

---

[1]) Wbrew twierdzeniom p. St. zaznaczyć trzeba, że historja Pomorza dotąd bardzo mało posiada źródłowych monografij, nie mówiąc wcale o opracowaniach syntetycznych.

ilustracyjny zawiera 50 pozycyj, które z najlepszą spotkały się oceną. Wogóle wśród kilkudziesięciu obszerniejszych odgłosów i oddźwięków (to chyba niemało na 8 zeszytów kwartalnych) nie było ani jednego, któryby dotkliwie ganił wydawnictwo.

»Gryf« znalazł oddźwięk w całej Polsce: we Lwowie, Wilnie, na Śląsku, w Warszawie, Poznaniu. Prenumeratorów miał więcej niż w Polsce mają dobre czasopisma, i więcej niż »Gryf« przedwojenny. Nie znalazł tylko dostatecznego poparcia tam, skąd inne czasopisma czerpią zwykle swe subwencje. Za to, gdy przestał wychodzić, zwracano się z różnych oficjalnych i nieoficjalnych stron z zachętą: wydawać, wznowić koniecznie.

Programu nie wypełniono. I tu znowu wyraźna nieżyczliwość. Bo przecież nikt nie będzie żądał, żeby w 8 zeszytach czasopismo wyczerpało program, w dodatku program, zakrojony na lat dziesiątki.

Zaczepiono również ten program, bo jakoś wychodził poza ramy zwykłego utartego już regjonalizmu. Widocznie niedość wyraźnie w »owej powodzi« (której nie było) artykułów zaznaczono, że regjonalizm kaszubski jest odmienny od regjonalizmu np. kurpiowskiego. Wystarczy zrozumieć stosunek narzecza kaszubskiego do innych narzeczy, t. zn. jego odrębne stanowisko wśród wszystkich narzeczy polskich (takie jest zdanie polskich językoznawców), żeby pojąć odrębność regjonu kaszubskiego, a więc i celów czasopisma kaszubskiego.

W tej sprawie — żeby posłużyć się zdaniem cudzem — tak zakonkludował bardzo ostrożnie rozumujący dr. R. Lutmam w artykule p. t. O ruchu młodokaszubskim (Słowo Polskie z 13 stycznia 1932 r.): »Mimo bowiem, że przekracza (t. j. ruch młodokasz.) granice i ramy zwykłego ruchu regjonalnego, chce on wzrastać na podłożu polskości i państwowości polskiej. Jako taki powinien znaleźć zrozumienie w społeczeństwie polskiem. Wówczas też bez trudu zmieści się w ramach szeroko pojętego i zdrowego regjonalizmu«.

Na tem uważam polemikę w sprawie »Gryfa« za zakończoną. Wyrazić jeszcze tylko muszę ubolewanie, że znalazły się pióra, mimo zastrzeżeń i innych pozorów ostro krytykujące działalność »Gryfa«, bo wyrządziły (bezwiednie może) krzywdę nietylko tym, którzy dla sprawy się poświęcali i odeszli, a bronić się nie mogą na łamach własnego pisma, ale równocześnie sprawie kaszubsko-pomorskiej, ostrzegając niejako przed wznowieniem pisma.

Dr. Władysław Pniewski

KRONIKA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„KROKUSY"

Nakładem Tow. Wydaw. „Bluszcz" (Warszawa, 1936) ukazał się tomik poezyj Jadwigi Korczakowskiej.

Na tle mocno wykoncypowanej i naogół lubującej się w szaradowych metaforach maniery poetyckiej, która — jak się zdaje — wchodzi coraz bardziej w modę u młodej generacji piszącej, wiersze Korczakowskiej uderzają świeżością i prostotą odczuwania, a zarazem — rzecz bodaj jeszcze rzadsza — wnoszą akcent niesfałszowanej radości życia.

Płynie ta radość ze źródeł najprostszych, elementarnych: z rozkoszy zdrowia, młodości, z dnia wiosennego; wystarczy jej najskromniejszy pretekst, bodaj wyjazd na oklepane letnisko podmiejskie, aby wyczarować z niego autentyczne, dziesięcio — i dwunastoletnie szczęście... („Letnisko", „Wieś i dzieci"). Gdy ta radość „dorośleje", tworzy żartobliwe minjaturki-cącka w rodzaju wiersza „Leniwa dama", albo też skupia się w żarliwym kręgu miłosnych doznań („Kolorowa pocztówka", „Pocałunki").

Bardzo subjektywnie podchodzi Korczakowska do zagadnienia miłości. Jej miłość nie zna wyrozumowania, chłodnego dystansu, ani pozy. Jest szeregiem odruchów i doznań często aż bolesnych w swej zupełnej prawdzie. Może dlatego mieni się taką różnorodnością barw: od spokojnej, niemal modlitewnej rzewności („Oblubienica", „Powrót"), aż do nastrojów, które już tylko dogasający krwawy fiolet zachodu słońca wypowiedzieć jest w stanie („Nad morzem").

W tej metodzie zastępowania pointy myśli odpowiednim motywem pejzażu jest wiele pięknej (i trudnej) dyskrecji, jest także szczególny chwyt poetycki, bardzo dla autorki charakterystyczny. Daje on niepowszednie wyniki w dwóch pełnych prostoty wierszach: „Nad wodą", „Polna wiązanka", które nasileniem nastroju, wypowiadanego słowami i obrazami najprostszemi, przypominają tradycje wielkiego Kasprowicza...

Obok erotyków dominują w zbiorku wiersze o podłożu społecznem i satyrycznem. Do tej kategorji zaliczyć należy przedewszystkiem doskonały opis portu południowego, widzianego od strony codziennej: brudnej, beznadziejnej i znojnej. „W porcie południowym" to bezwzględnie jeden z najlepszych wierszy pod względem celności i zwięzłości formy, objawiający zarazem w syntezie zasadniczą postawę uczuciową autorki, która na niedolę i biedę ludzką nie patrzy od strony jej malowniczości zewnętrznej, lecz przeciwnie — wnika w losy opisywanych przez siebie szwaczek, grajek ulicznych, sprzedawczyń obwarzanków, i pisząc o nędzy ludzkiej stowarzysza się z nią wyczuleniem artystycznem i kobiecem współczuciem.

O ile jednak w cyklu portretów autorka nie wysuwa się poza ramy konwencjonalnej, choć szczerej litości, o tyle tam, gdzie maluje np. śmiesznostki małomiasteczkowe („Mazur"), lub bezduszny pozór form („Pogrzeb") pióro jej nabiera rozmachu, ostrości i precyzji. Trafność i bystrość obserwacji, a także duży zmysł humoru, zdają się predysponować Jadwigę Korczakowską szczególnie do tego właśnie rodzaju poezji, społeczno-satyrycznej, co nie wyklucza, że ciekawem jest także i to, co poetce dyktuje jej impuls wewnętrzny.

Po „Krokusach" oczekujemy od autorki kwiatów lata...

Bianka Kutnerówna

LEGENDA O JANIE Z KOLNA

Napisała Wanda Wasilewska, nakładem Naszej Księgarni, Warszawa 1936.

Tak mało mieliśmy niegdyś styczności z morzem, tak rzadko w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej polscy żeglarze, lub

też polskie okręty zapuszczały się dalej od lądu, — że dziś, gdy duch morski nareszcie się nam objawił, łowimy i notujemy chciwie nietylko prawdę zamierzchłych czasów, lecz także najbardziej mgliste nawet legendy.

Do legendarnych postaci nielicznych polskich odkrywców należy Jan z Kolna, którego Lelewel umieścił w czasach Jagiellońskich, łącząc jego losy z losami młodego króla Władysława Warneńczyka i nieszczęsnej wyprawy tureckiej. Wanda Wasilewska tutaj właśnie poczyna snuć wątek swej opowieści, w momencie klęski i rozpaczy, po bohaterskiej śmierci młodego wodza ukazując nam uchodzące w popłochu rycerstwo i Jana w gromadzie innych zbiegów.

Ubogi żak krakowski, przygarnięty przez króla w czasie jakichś ulicznych zamieszek, został jego przyjacielem i sługą przybocznym, walecznie bił się pod Warną, poczem, zrozpaczony zbiegł z powrotem do kraju, trafił nad Bałtyk, i zasmakowawszy w morskiem rzemiośle zaciągnął się na służbę do króla Danji i Norwegji, Chrystjana. Na statkach wielorybniczych pływał na daleką północ, docierał do brzegów Islandji i Grenlandji, i tam właśnie, w chacie gościnnego tuziemca usłyszał poraz pierwszy opowieść dziwną i niesamowitą. Oto Grenlandja nie jest skrajem świata jak dotychczas mniemano, jeno daleko poza nią rozciąga się inne, ciepłe morze, a poza morzem nowy, nieznany ląd.

Jan uwierzył w prawdziwość tych twierdzeń, zdołał nakłonić króla Chrystjana do zarządzenia wyprawy, i do powierzenia kierownictwa jemu właśnie, Janowi z Kolna. Teraz należało tylko zbudować statek mocny i zwrotny, zwerbować tęgą załogę i ruszać na podbój ziem nieznanych. Przemógłszy tępotę i złą wolę ludzi zawistnych, śmiały żeglarz spuścił wreszcie na morze okręt zwany Orłem, i wraz z gromadą takich jak sam ryzykantów ważących się na wszystko, — wypłynął na wielką wyprawę. Po drodze jeszcze zetknął się z polskim mnichem, który miał przekazać potomności śmiałe czyny odkrywcy, aż na wodach północnych, w czasie gęstej mgły, Orzeł wpadł na górę lodową i zapewne pochłonęła go fala.

Wanda Wasilewska, autorka „Ojczyzny", głęboka realistka, porwała się naraz na rzecz będącą w zasadniczej sprzeczności z dotychczasową jej twórczością. Do poprzednich swoich powieści mogła czerpać materjał z życia współczesnego, lekko jedynie zabarwiając go odpowiednią tendencją. Tutaj, należało albo gruntownie przestudjować epokę, dać prawdę historycznie wierną, a na jej tle sylwetkę zmyśloną coprawda, lecz pokazaną w sposób tak umiejętny, by narzucała się czytelnikowi nieodparcie, niby ktoś najbardziej realny, — albo też wkroczyć już nie w dziedzinę legendy nawet, tylko w krainę baśni, fantazją baśniową nadrobić wszelkie inne braki

Tembardziej chcielibyśmy widzieć książkę tego właśnie rodzaju: sugestywną, plastyczną, — że wśród świadomych rzeczy poczyna się szerzyć wiadomość, iż Jan z Kolna wogóle nie istniał, a łaciński „warjant Skolnus, który przyczynił się do powstania hipotezy Lelewela jest błędny, i powstał jedynie wskutek omyłki kopistów lub zecerów XVII wieku".

Z tem rewelacyjnem twierdzeniem występuje Bolesław Olszewicz, na łamach „Przeglądu Geograficznego" uzasadniając swoją tezę całym szeregiem źródłowych materjałów. Dowodzi między innemi, że gdyby Jan z Kolna żył istotnie w owych czasach, „zwałby się zagranicą po łacinie Joannes de Kolno, lub Colno, Joannes Colnensis, może nawet Joannes Polonus, nieprawdopodobne natomiast, by zwano go w formie powstałej na gruncie fonetyki polskiej".

Pomyłka kopistów czy też zecerów z siedemnastego wieku polega zatem na przekręceniu nazwiska niejakiego Johanna Scolvusa, żeglarza pozostającego na służbie króla Danji i Norwegji. Niepodobna dziś z całą pewnością stwierdzić, jakiej ów Scolvus był narodowości, lecz jakkolwiek większość najstarszych źródeł zwie go Duńczykiem istnieje także uzasadniona hipoteza, że pochodził z Polski. Tylko że

nie odkrył Ameryki, i nie silił się nawet na to, biorąc poprostu w roku 1476 udział w wyprawie do Grenlandji, co zresztą przedstawiało na owe czasy wyczyn nielada jaki.

Niech sobie historycy łamią głowy nad tem, co jest, a co nie jest prawdą w legendzie o Janie z Kolna; książeczka Wandy Wasilewskiej spełniłaby znakomicie swe zadanie, gdyby śród młodzieży, dla której jest przeznaczona, umiała zbudzić tęsknotę do morza, do dalekich morskich wypraw, do sławnych wyczynów żeglarskich. Niestety, zbratanie Jana z Bałtykiem poczyna się niewiadomo skąd i dlaczego, gdyż wyjaśnienie autorki: „zdawało się Janowi, że fale zmywają z jego serca całą gorycz i ból", — jest zanadto współczesne i zanadto szablonowo-literackie. Skoro sprawa najważniejsza, z którą się wszystko wiąże została potraktowana w ten sposób, nic dziwnego, że i sam bohater wypadł blado, przypominając raczej marjonetkę, wykonywującą bezmyślnie ruchy z góry ustalone, — niż dzielnego, pełnego inicjatywy odkrywcę o którym mówi legenda. Opowieść Wandy Wasilewskiej nie uczyniła nam Jana z Kolna ani bliższym, ani też bardziej niż dotąd realnym.

Jerzy Marlicz

CZESKA KSIĄŻKA O SŁOWIANACH BAŁTYCKICH.

(Dr. Josef Müldner: „Po stopach baltických Slovanu". Pruvodce po sidlach a dejinach baltickych Slovanu, Praha, 1934, 8⁰, str. 251. 3 mapy + 28 ryciny).

Za mało poświęcamy uwagi sprawie słowiańskiej. Nie widzi się nigdzie konkretnych wysiłków zdążających do wytworzenia atmosfery przyjacielskiej i rodzinnej wśród Słowian. Przeciwnie, różne spory sąsiedzkie państw słowiańskich świadczą o tem, iż komuś w Europie zależy na tem, by Słowianie jak najdłużej między sobą żyli w waśni i kłótni.

Pocieszającym objawem jest, że ponad głowami zawodowych polityków Słowianie starają się porozumiewać między sobą i czują potrzebę bliższego poznania się, niezależnie od wszystkich antagonizmów, jakie tu i tam jeszcze istnieją.

Takim objawem chęci bliższego poznania i zżycia się z sobą jest piękna i ciekawa książka czeska Józefa Müldnera pt.: „Po stopach baltických Slovanu". Dzieło to, bogato ilustrowane, zostało wydane w Pradze w r. 1934. Ze względu na temat oraz ciekawe uwagi i spostrzeżenia w nim zawarte, zasługuje ono na obszerniejszą wzmiankę.

Autor dzieła, Czech Józef Müldner odbył w r. 1927 podróż po Słowiańszczyźnie bałtyckiej, zwiedził dokładnie Polskę, m. i. Pomorze, ziemię Kaszubską, Gdańsk, Oliwę, Prusy Wschodnie, włóczył się po Sambji, ziemi św. Wojciecha, dotarł do jezior mazurskich, a nawet do Meklenburgji, wysp Rugji i Bornholm. Wszystko, co widział i słyszał, opisał w swej książce, która, poza osobistemi wspomnieniami z podróży zawiera obszerne dane historyczne i geograficzne poszczególnych ziem słowiańskich. Słusznie więc nazwał autor swą książkę „przewodnikiem po siedzibach i dziejach bałtyckich Słowian". Życzyć należy, by ten pięknie wydany „pruvodce po sidlach a dejinach baltickych Slovanu" spełnił swoje zadanie, tj. by zwrócił na nas i nasz Bałtyk oczy reszty Słowiańszczyzny.

Stosunek Müldnera do nas Polaków jest bardzo życzliwy. Bałtyk nazywa on „Polskiem morzem" a ponadto w osobnym rozdziale rozwodzi się obszernie na temat dostępu Polski do morza. Kaszubom poświęcił autor dużo miejsca w swej książce, słusznie nazywając ich „słowiańską strażą nad Bałtykiem". Warto przeczytać jego ciekawe wywody na temat znaczenia Słowian w polityce europejskiej jako też jego rozważania na temat dawnych dziejów Słowiańszczyzny nadbałtyckiej. W dwudziestu obszernych rozdziałach (m. i.: „Kaszubi, słowiańska straż nad Bałtykiem", „Słowiańskie nadmorskie dzieje nad Bałtykiem", „Słowiańska flota koło r. 1000", „Roztoka w Meklenburgji", „Rugja", „Malbork", „Obrazy z dziejów zakonu niemieckich rycerzy", „Gdańsk", „Klasztor Oliwa", „Oliwa dzisiejsza", „Bornholm",

„Słowianie a polityka europejska“, „Polskie morze“, „Sambja“, „W sercu Mazur“, „Dostęp Polski do morza“), dał nam autor bogaty materjał geograficzno-historyczny i polityczny, obejmujący całą Słowiańszczyznę nadbałtycką przy jak największem uwzględnieniu Polski i polskiego morza.

Z uznaniem podkreślić należy, że ten obszerny i znakomity przewodnik po Słowiańszczyźnie nadbałtyckiej, który zasługuje na rozpowszechnienie wśród wszystkich Słowian, napisał Czech. Osobne podziękowanie należy mu się za nadzwyczaj życzliwe ustosunkowanie się wobec nas Polaków.

Tadeusz Pietrykowski

KĄCIK POLEMICZNY

W SPRAWIE TZW. ŁUKU CEZARA

W chwili, gdy ten zeszyt „Teki" oddaje się do druku, przy ul. Różanej w Toruniu toczą się roboty około tzw. Łuku Cezara. Regulacja tego odcinka miasta przewiduje przebudowę dwóch domów, przylegająeych do Łuku Cezara, dla ruchu tramwajowego wzgl. pieszego, oraz szeregu domów po stronie południowej ul. Różanej. Ma powstać, według projektu, system tunelów i arkad, który nada tej dzielnicy charakter dość osobliwy.

Nie chcemy tu wchodzić w meritum sprawy. Mniejsza o to, czy przebudowa ta, dość kosztowna, jest nieodzownie potrzebna Najważniejsze to, by prace obecne zostały wykonane ściśle według planu, t. j. bez narażenia na szwank tej charakterystycznej grupy architektonicznej.

Nie chodzi tu przecież o drobnostkę. Mniejsza już o to, że dom barokowy zwany Łukiem Cezara jest jednym z nielicznych zabytków baroku p o l s k i e g o w Toruniu, że oba domy przyległe o poważnej sylwecie są pamiątką po odbudowie miasta w czasach po wojnach napoleońskich. W razie, gdyby ziściły się niewczesne życzenia pewnych kół i domy te zniknęły,okazałaby się dopiero w całej pełni strata, jakąby poniósł Toruń na tym odcinku.

Idealne zamknięcie śródmieścia ku Bydgoskiemu zostałoby zatracone bezpowrotnie. A przecież jednym z uroków Torunia jest właśnie kontrast między śródmieściem rozplanowanem na modłę średniowieczną a przedmieściami o pokroju nowoczesnym. Zatarłby się staroświecki dotąd charakter Piekar, tej ulicy, która u granic Bydgoskiego wybitnie akcentuje dawne oblicze śródmieścia. A co najgorsza — odsłoniętoby od strony Bydgoskiego widok na dwie szpetne kamienice z czasów pruskich — dom pastoratu staromiejskiego i dom Kohnerta.—

Gdy się patrzy na robotę burzymurków toruńskich, którzy w ciągu niespełna 150 lat zdołali wyprzątnąć Toruń z co najcenniejszych budowli, ubolewa się mimowoli nad losem tego miasta. Jeszcze dwa wieki temu był Toruń „małym Gdańskiem". A dziś? Strzępy już tylko pozostały z dawnej świetności. Przecież sam ratusz i 3 kościoły nie stanowią o charakterze miasta. Trzeba dbać przedewszystkiem o szary tłum domów, który jest tłem dla tamtych zabytków. Bez tego tła owe wielkie zabytki będą się wydawały tylko dziwnym anachronizmem.

M. S.

Z RUCHU KULTURALNEGO

Z PRAWIEKU ZIEMI CHEŁMIŃSKIEJ

W miesiącu maju 1936 r. odkrył w Dolnym Słończu w pow. chełmińskim nauczyciel z pobliskiej wsi Czarze p. Marzec cmentarzysko „łużyckie" z wczesnej epoki żelaznej (800 — 500 przed Chr.) położone na wzgórzu piaszczystem nad starą odnogą wiślaną. Na skutek natychmiastowego zawiadomienia o odkryciu Działu Przedh. Muz. Miejsk. w Toruniu przez p. Marca przedsięwzięto zaraz prace wykopaliskowe, kierowane przez mgra Jacka Delektę, kustosza Działu Przedhistorycznego. Odkryto przeszło 100 grobów o różnorakich obrządkach pogrzebowych, ciałopalnych.

Spostrzeżenia poczynione na cmentatarzysku „łużyckiem" w Dolnym Słończu

rzucają nowy snop światła na zagadnienie pochodzenia kultury „łużyckiej" na Pomorzu, na jej cechy duchowe i materjalne oraz stosunki kulturowe z południem i północą we wczesnej epoce żelaznej.

W tejże samej miejscowości odkryto przypadkowo na wyniosłem wzniesieniu piaszczystem, również nad starą odnogą Wisły, pozostałości po osadzie słowiańskiej, nieobwarowanej, z okresu wczesnohistorycznego (600 — 1100 po Chr.) z ceramiką t. zw. północno-polską. Osadę z biegiem wieków zasypały piaskiem wiatry wzgl. powodzie przeszło na 1 m., dzięki czemu ślady po niej dochowały się w doskonałym stanie, umożliwiającym dokładne splanowanie całości i wynotowanie wszystkiego tego, co pozostało pod grubą powłoką piasku po nadwiślańskiej sadybie przodków dzisiejszych Pomorzan.

Czy osada słowiańska z okresu wczesnohistorycznego w Dolnym Słończu pozostaje w jakim stosunku do dzisiejszej wsi, t. zn. czy dzisiejsza wieś rozwinęła się z osady wczesnohistorycznej trudno powiedzieć. Jedynie jednakowe położenie topograficzne osady w okresie wczesnohistorycznym, jak i wyraźne ślady domostw z późnego średniowiecza w pobliżu i osadnictwo współczesne, skupiające się również na paśmie wyniosłości piaszczystych nad starą odnogą Wisły, mogłyby przemawiać za nieprzerwaną ciągłością osadnictwa w Dolnym Słończu od zarania dziejów. Ponadto stwierdzić należy, że miejscowość ta była już zamieszkałą nawet w epoce kamiennej młodszej (około 5000 — 3000 przed Chr.), czego dowodem są znaleziska szczątków naczyń jednej z kultur neolitycznych, t. zw. kultury sznurowej.

Nie są to jedyne ślady osadnictwa prehistorycznego w ziemi chełmińskiej, przebogatej w dokumenty czasów zamierzchłych; dużo jeszcze zabytków epok minionych kryje zazdrośnie ziemia; chodzi tylko o to, by wszyscy ludzie dobrej woli, doceniający znaczenie wykopalisk dla odtworzenia przeszłości ziemi pomorskiej (tak niestety zaniedbanej na tym punkcie) donosili o odkryciach do Muzeum Miejskiego w Toruniu, a znalezionych przedmiotów nie niszczyli i nie przetrzymywali w zbiorach prywatnych.

J. D.

ROZGŁOŚNIA POMORSKA W TORUNIU

Rozgłośnia Pomorska, ósma z kolei, najmłodsza z rozgłośni Polskiego Radja, powstała w Toruniu 15 stycznia 1935 r. Pierwszym krokom rozgłośni towarzyszyło żywe zainteresowanie sfer kulturalnych i społecznych Pomorza. Przewidywania i nadzieje usprawiedliwiał cel rozgłośni: miała ona służyć w pierwszym rzędzie potrzebom regjonalnym i stać się rzecznikiem żywotnych interesów regjonów pomorskiego i morskiego. Z planowanej zrazu w skromnym zakresie stacji przekaźnikowej, o szczupłych możliwościach własnej inicjatywy, podniesiono już w dniu poświęcenia stację „Toruńską" do godności Rozgłośni P o m o r s k i e j, o szerokim zasięgu promieniowania i ambitnym programie akcji kulturalno-artystycznej i społecznej.

Teren, jaki obejmuje fala pomorska, to nietylko ciasne ramy administracyjne województwa — to nietylko Krajna, Kociewie czy nawet Kaszuby, zasięg o wiele rozleglejszy, rozciągający się na Warmję i Mazury, na Okręg Nadnotecki i Kujawy.

Właściwa praca na polu radjofonji pomorskiej datuje się od kwietnia ub. r. Rozbudowuje się aparat rozgłośni, studjo pracuje pełnym programem dziennym, kładzie się specjalny nacisk na rozbudowę programu regjonalnego.

W bilansie I-go roku figuruje już siedemset audycyj żywego słowa i żywej muzyki, z czego 125 na falę ogólnopolską. Mikrofon pomorski wędruje także na prowincję: na całą Polskę nadaje Toruń transmisje z Gdyni (15 rocznica objęcia Bałtyku), z Pelplina (Święto Wielkiejnocy) z Grudziądza (Zjazd Śpiewaczy), z Brdyujścia (Regaty wioślarskie), z apelu harcerzy pomorskich, z Ciechocinka, z Wielkiej Wsi (konkursowa), z lasów pomorskich (ryko-

wisko jeleni), z Pelplina (100-lecie Collegium Marianum), z Włocławka.

Silną pozycję w programie zajęły chóry pomorskie. Występy ich znalazły szeroki oddźwięk w całym kraju.

Gdynia przez rozgłośnię utrzymywała serdeczny kontakt z całą Polską dzięki koncertom orkiestry Marynarki Wojennej.

Nadał również Toruń szereg audycyj słownomuzycznych i słuchowisk, m. in. „Pieśni Rycerstwa“, „Gwiazdka na Kaszubach“, „Od Warmji do Kujaw“, „Operacja“, „Reboce“.

Audycje żywego słowa, pogadanki, odczyty, feljetony, reportaże objęły całe Pomorze, sięgając poza jego rejon od Torunia przez Bydgoszcz, Inowrocław, Włocławek, Nieszawę do Gdyni, na Hel, za Wisłę na odcięte od Macierzy ziemie Warmji i Mazurów. W programie rozgłośni znalazły uwzględnienie wszystkie ważniejsze zagadnienia Państwowe i społeczne, znalazły w nim oddźwięk wszystkie wielkie wydarzenia radosne i smutne. Dzięki mikrofonom toruńskim spiżowy dźwięk największego dzwonu „Tuba Dei“ złączył się w dniach żałoby narodowej z dalekiem echem „Zygmunta“ na Wawelu. Na fali ogólnopolskiej znalazły się również odczyty na temat przyszłej Wszechnicy w Toruniu, Muzeum im. Józefa Piłsudskiego, Domu Społecznego Jego imienia i t. d.

Osobny cykl p. t. „Nasza bandera na morzu“ informuje o morskim dorobku Polski, o wyprawach oceanicznych naszych statków dalekomorskich i omawia szeroko wszelkie zagadnienia, związane z marynistyką polską. Cała rozległa praca Rozgłośni Pomorskiej spowodowała zacieśnienie serdecznych więzów życzliwości i ofiarnej współpracy między kołem najbliższych pracowników radjowych, a szeroką rzeszą radjosłuchaczy nie tylko Pomorza, ale i całej Polski. Jubileusz Polskiego Radja dał okazję do stwierdzenia serdecznego stosunku audytorjum mikrofonowego do Rozgłośni, jak również skłonił najwyższych przedstawicieli Państwa i społeczeństwa do życzeń, nacechowanych głębokiem zrozumieniem dla wielkich zadań i pięknego dorobku toruńskiej stacji.

Przed mikrofonami toruńskiemi stanęło wielu wykonawców Pomorza z Gdynią i Gdańskiem, Mazur i Kujaw. Bogaty w nieprzebrane skarby przyrody, zabytki architektury i sztuki, zasobny w dorobek kulturalny regjon pozwala czerpać pełną dłonią materjał mikrofonowy, nieograniczony w możliwościach. Nie brak miastom i dalszej prowincji zdolnych autorów i wykonawców mikrofonowych. Od nich w dużej mierze zależy wykonanie drugiego etapu drogi pionierskiej Rozgłośni Pomorskiej: udostępnienia szerokim masom radjosłuchaczy całego kraju klejnotów kultury i sztuki regjonalnej, swoistości folkloru, krasy przyrody, dostojeństwa zabytków, słowem wszystkiego, co skromna Ziemia Pomorska poza olbrzymim dorobkiem lat niepodległości na fali radjowej przekazać może.

J. W.

KILKA SŁÓW O TEATRZE ZIEMI POMORSKIEJ

Teatr „Ziemi Pomorskiej“ powstał jako objazdowy ze ślicznym celem szerzenia kultury teatralnej i umiłowania słowa żywego w najmniejszych nawet zakątkach naszej ziemicy. Rozmach w pierwszym sezonie ogromny chciał objąć zasięgiem swoim wszystkie miasta i miasteczka, stworzyć odpowiedni zespół aktorski, no i przedewszystkiem dobrany repertuar, którył spełnił główne cele Dyrekcji. Niestety wielki rozmach nie liczył się nieco z doświadczeniem, nie liczył się także z trudnościami, jakie na drodze takiej pracy zawsze muszą się znaleźć. Rezultat ogólny chociaż pod względem ideowym, a zwłaszcza ruchliwości teatru, można nazwać zadawalniającym, zawiódł jednak pod względem finansowym, a także wytrzymałości nerwowej członków zespołu, a nawet czołowych reżyserów.

Trudności na Pomorzu techniczne są bardzo wielkie. Nigdzie niema gmachów te-

atralnych choćby najskromniejszych prócz w Grudziądzu, salki połączone z różnego rodzaju instytucjami gastronomicznemi, służyły kiedyś teatrom amatorskim, produkcjom śpiewaczym, dzisiaj zniszczone, zaniedbane, bez garderób, z zepsutemi kaloryferami. Nie nadają się te scenki dla teatru z prawdziwego zdarzenia, zwłaszcza na sztuki o poważniejszym charakterze lub widowiskowym, coby można jedynie polecać i pod tym względem należy przyznać wyższość „Kresom Wschodnim", gdzie głównie dzięki wojsku powstały wcale niezłe teatrzyki nawet w bardzo małych skupieniach. Te warunki techniczne nieraz utrudniały a nawet uniemożliwiły Dyrekcji najszlachetniejszy wysiłek kulturalny.

Weźmy np. „Kopernika" Morstina. Utwór ten jako przedstawienie w skrócie, ściśle rozumowe jest zbyt trudny do zajęcia szerszych mas. Treścią jego jest walka dwóch kultur, scholastycznej i humanistycznej. Jako widowisko w szerszem tego słowa znaczeniu ma dużą wartość, czego dowodem choćby widowiska akademickie w Krakowie, które już drugi rok wystawiają tegoż samego „Kopernika", pod reżyserją tego samego reżysera Kielanowskiego, ale jako widowiska na dziedzińcu Bibljoteki Jagiellońskiej. A wartość widowiskową tego utworu zadokumentowały i inne narody, gdzie też młodzież krakowska włączyła sztukę Morstina do swych specjalnych objazdowych programów. Tak więc warunki techniczne i tylko zewnętrzne rozstrzygnęły o powodzeniu lub niepowodzeniu wartościowego utworu scenicznego. U nas na prowincji zawiodły zupełnie.

Nikt u nas nie wątpi, że teatr jako rozkrzewiciel kultury jest niesłychanie ważny, a więc pomożenie takiej instytucji przez ułatwienie jej warunków technicznych byłoby ważnem zadaniem pracowników społecznych w małych miastach.

Ale na jedną trudność chciałbym zwrócić uwagę, którą bardzo jaskrawo wyłoniło doświadczenie p. Brackiego, to jest na warunki pracy w Gdyni, gdzie wielkie wysiłki zupełnie zawiodły. I właśnie to miasto wymaga największego wysiłku. Jest to skupienie ludzi zupełnie nowych, z sobą niezżytych, napiętych na jedną myśl powiedzmy gospodarczą, jeżeli nie nazwać tego prościej „gorączką pieniądza", i właśnie tam należałoby bardzo umiejętnie, bardzo wykwintnie i ostrożnie pracować nad kulturalnem wychowaniem tego żywego, nieokiełzanego jeszcze noworodka. Jak się do tego zabrać? — Powinny to szczegółowo przedebatować miarodajne czynniki, bo zaszczepienie tam ducha rzeczywistej kultury odegra niewątpliwą rolę w życiu całego narodu.

Mimo tak wielkich różnych niespodzianek, sezon ubiegły przyniósł wiele dodatnich zdobyczy, jak np. znaczną frekwencję na przedstawieniach „Dziadów" lub bardzo dobre artystycznie przedstawienia takie, jak „Most" Szaniawskiego z p. Brackim i Mazarekówną, a wreszcie pomysłową pracę reżyserską pp. Kielanowskiego i Szyndlera.

Sezon drugi, który szerzej omówimy w następnym numerze „Teki", to epoka mniejszego rozmachu a większego doświadczenia, które kazało zrezygnować z większych planów, a zadowolić się mniejszem. Skromniejszy to niezawodnie sezon, ale może praktyczniejszy. Życzymy, by następny połączył rozmach i doświadczenie dla dobra sztuki.

S. R

REDAGUJE: KOŁO LITERACKIE KONFRATERNI ARTYSTÓW W TORUNIU.
SKŁAD REDAKCJI: JÓZEF BIENIASZ, ZOFJA BOGUSŁAWSKA, WIKTOR JAGALSKI, ZYGMUNT MOCARSKI, TADEUSZ PIETRYKOWSKI.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: MARJAN SYDOW — TORUŃ, RYBAKI NR. 45. m. 6.

WYDAWCA I SKŁAD: ZAKŁAD GRAFICZNY JANA KAROLCZAKA — TORUŃ, UL. MOSTOWA 6.